Nr. 15. Poznań, Niedziela 14go Kwietnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Dwie rezolucye.

Walne zebranie wyborców miasta Poznania odbyło się we wtorek na sali p. Adamskiego, a znamienną cechą pierwszej połowy obrad była — jednomyślność. Smutne doświadczenia mówią nam niestety, że jednomyślność poznańska nosiła niejodnokrotnie rysy bezmyślności, ale jeżeli zważymy, że dojrzałość polityczna ludu w ostatnich latach rozwinęła się korzystnie, — jeżeli dalej uwzględnimy, że na wtorkowem zebraniu inteligencya wszystkich obozów stanęła do apelu, — to owa zgodność opinii i solidarność wszystkich wyborców przestaje budzić uśmiechy ironii i uchwały walnego zebrania otacza blaskiem niezwykłej powagi. Tenor rezolucyi przedłożonych zgromadzeniu przez pp. dr. Rabskiego i dr. Krysiewicza jest następujący:

I.

„Zebrani dnia 9 kwietnia na sali Adamskiego Polacy — wyborcy miasta Poznania upatrują w „Ustawie przewrotowej“, projektowanej przez rząd niemiecki, a zatwierdzonej z małemi zmianami w drugiem czytaniu komisyi obradującej, groźne niebezpieczeństwo dla swobody obywatelskiej i życia narodowego. Protestując zatem stanowczo przeciw przyjęciu projektu, zanoszą Polacy wyborcy m. Poznania do przedstawicieli swoich w parlamencie niemieckim petycyę, aby jak najenergiczniej wystąpili przeciw niebezpiecznej ustawie, która jest pogwałceniem swobód konstytucyjnych i cywilizacyi, a właśnie społeczeństwu polskiemu zgotować może klęskę dotkliwą w walce o byt narodowy.“

II.

„Zebrani dnia 9 kwietnia na sali Adamskiego Polacy — wyborcy miasta Poznania wyrażają życzenie, aby Koła polskie w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim porzuciły zasadę bezwzględnej tajności uchwał i za pośrednictwem pism polskich wszystkich obozów informowały wyborców o wyniku obrad i głosowań swoich, o ile informacyi tej nie wyklucza chwilowy interes polityczny w walce na zewnątrz.“

Obie rezolucye, ułożone przez redakcyę „Przeglądu Poznańskiego“, przyjęto burzą oklasków, — nikt nie protestował i jednomyślny głos społeczeństwa poznańskiego niesie dwie prośby i dwie przestrogi do reprezentacyi polskich w stolicy niemieckiej. Snać jednak z „wyżyn“ polityki naszej musiały powiać niespodziewanie odmienne wiatry, bo „Kuryer Poznański“ stara się osłabić doniosłość uchwał powziętych, a „Dziennik Poznański“ krytykujący jeszcze przed kilku dniami w tonie niezwykłej energii szczelne odgraniczenie Kół poselskich od społeczeństwa zwija dziś starym zwyczajem sztandar opozycyi i publikuje jakieś „Listy polityczne“ w obronie rolosów, zamków i kurtyn reprezentacyi naszych w sejmie i parlamencie. Organ duchowieństwa, sympatyzujący, lubo bez hałasu, z ustawą przewrotową, stara się przedewszystkiem osłabić doniosłość „jednomyślności“, a w zacietrzewieniu polemicznem ubliża zebraniu, — ubliża własnym chorążym. Zdaniem lojalnego pisma budziły rezolucye wśród zgromadzonych obywateli poważne wątpliwości, ale dla „świętej zgody“ nikt opozycyi nie podniósł, aby przed następującym punktem programowym — wyborem nowego komitetu — nie rozbudzić politycznych namiętności.

Jakże w tej „Kuryerowej“ ocenie niknie powaga polityczna własnych jego rycerzy, — jakże ta myśląca inteligencya z ugodowego obozu kurczy się w lustrze „Kuryerowem“! Więc tam, gdzie sprawa pierwszorzędnej wagi staje na porządku dziennym, — tam, gdzie układa się dyrektywę polityczną dla przedstawicieli narodu w parlamencie niemieckim, — tam, gdzie grono obywateli zebrało się w tym celu, aby zamanifestować swoje opinie polityczne, — zwolennicy „Kuryera Poznańskiego“ zamykają na cztery zamki przekonania swoje i symulują wstrętne sobie sympatye polityczne dla projektowanych rezolucyi, aby „świętej zgody“ nie burzyć?! Redakcya „Kuryera“, zatrwożona jednomyślnością rezolucyi powziętych, woli konserwatywnym hufcom „ładu i porządku“ fałszywe i ubliżające podsunąć motywy, niż przyznać otwarcie, że nawet ten lojalny „ład i porządek“ stanął w opozycyi do groźnych zakusów rządu niemieckiego i dotychczasowych praktyk obu Kół poselskich w sejmie i parlamencie.

Sofizmaty tej interpretacyi zresztą nadto są widoczne, aby wzbudzić wiarę w sumienność twierdzeń „Kuryerowych“. W wilią zebrania bowiem wiadomem już było w Poznaniu, że stronnictwo ludowe nie sprawia szyków bojowych i na placu bitwy nie zjawi się wcale, a zatem nie istniała żadna wątpliwość, że wobec braku najburzliwszych, bo całym szeregiem niesprawiedliwości rozgoryczonych czynników, zebranie rozbiciu nie ulegnie i wybór komitetu odbędzie się w spokoju. Kto wpatrywał się w fizyonomią zebrań poznańskich i w fizyonomii tej czytać się nauczył, ten wiedział od pierwszej chwili, że „ład i porządek“ nie potrzebuje na ołtarzu zgody składać ofiary z przekonań politycznych, bo rozbicie zebrania z góry było wykluczonem.

Rzekomej ofiarności konserwatywno-ugodowego obozu zaprzecza też najwymowniej lista kandydatów do komitetu, figurująca pod firmą „Stronnictwa narodowego“. Po bankructwie starej marki „ładu i porządku“ postarał się p. Dobrowolski o inny „nom de guerre“ i oto zjawiło się na zebraniu jakieś „stronnictwo narodowe“, reprezentowane oficyalnie przez zecerów „Dziennika Poznańskiego.“ Rozumiemy istnienie „stronnictwa ludowego“ bo znamy jego organizacyę, jego zarząd i jego komitet wyborczy, ale zkąd pierwszy lepszy dziennikarz ośmiela się fabrykować listę kandydatów, przylepiać lśniącą firmę „stronnictwa narodowego“ i urzędowym przedstawicielem tego fikcyjnego stronnictwa mianować zecera własnej drukarni, to zaiste trudno zrozumieć. Jeżeli za wzorem „Dziennika“ pójdą redakcye innych czasopism, a w dalszej konsekwencyi całe szeregi „dzikich“, to niebawem zamiast listy pana X lub Y, kandydatów „Gońca“ lub „Kuryera“, doczekamy się listy „stronnictwa sprawiedliwości“, „stronnictwa rozumu politycznego“, „stronnictwa polskiego“, „stronnictwa czystych rąk“ i t. d. O interesujące tytuły łatwo. Zdaniem naszem atoli, tym jedynie przysługuje prawo występować w urzędowym charakterze stronnictwa, którzy posiadają własną odrębną organizacyę z oficyalnym zarządem na czele. W przeciwnym razie jest to uzurpacya, którą z całą stanowczością piętnować należy.

Lista, przedstawiona przez zecerów „Dziennika Poznańskiego“ była w samej rzeczy fabrykatem redakcyjnym i nosiła na sobie stempel kliki „ładu i porządku“ *alias* Dziennikowo-Kuryerowego obozu. Nie zdradzała ona jednak żadnych koncesyi w interesie „świętej zgody“, o której śpiewa organ duchowieństwa, lecz biła w oczy piętnem bezwzględności, forytującej nieomal wyłącznie zwolenników jednego kierunku politycznego. Nikt bowiem nie poczyta dwóch postępowo - demokratycznych nazwisk na liście osiemnastu kandydatów za poważne ustępstwo. Wyzyskano tu przewagę przypadkową, zdobytą jedynie przez nieobecność stronnictwa ludowego.

Obok listy „ładu i porządku“ przedstawił własnych kandydatów „Goniec Wielkopolski“. Nie wierzymy bynajmniej oświadczeniu jednego z uczestników zebrania, że przyjęcie listy „Gońcowej“ położyłoby koniec stanowczy walkom

partyjnym w społeczeństwie naszem, uznajemy natomiast chętnie, że redakcya dziennika tego kierowała się uczuciem sprawiedliwości, pragnąc, aby w komitecie wyborczym miasta Poznania zasiadali reprezentanci wszystkich stronnictw w odpowiedniej liczbie. Większość zgromadzonych jednak nie uznała intencyi obywatelskich redakcyi „Gońca Wielkopolskiego“ i drobną nadwyżką głosów zatwierdziła komitet o partyjnem obliczu.

Inny natomiast i wręcz niespodziewany obrót wziął wybór delegata miasta Poznania: Zwyciężył p. dr. Krysiewicz, obywatel znany w szerokich kołach z humanitarnych i postępowo-demokratycznych przekonań. Nie rozstrzygamy, czy kilku z stronników zwycięskiej listy komitetowej uczuło nagle instynkt sprawiedliwości, czy też osobiste zalety p. dr. Krysiewicza przezwyciężyły partyjne uprzedzenia, czy wreszcie ten i ów z żołnierzy „Dziennika Pozn.“ po wyborze komitetu opuścił salę, nie czekając na wybór delegata, — dość, że zwyciężył młody obywatel o szerszych poglądach politycznych i jeden z najwybitniejszych chorążych postępowego obozu. Z zwycięstwa tego dumni jesteśmy, bo tryumf p. dr. Krysiewicza jest tryumfem naszego kierunku.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„Gazeta Grudziądzka“ (Nr. 41) tak charakteryzuje mowę jenerała Boie na festynie Bismarckowskim w Grudziądzu:

„Do mowy na cześć cesarza przypiął wzmiankę, że uchwała parlamentu z dnia 23 marca br. przyszła do skutku przez głosowanie około 2 tuzinów Polaków, Francuzów i Duńczyków, którym dozwolono mieszkać w państwie niemieckiem i oddychać niemieckiem powietrzem. (??!) Pierwszy raz słyszymy o tej wielkiej łasce z ust p. jenerała — komenderującego Boiego! Jeśli to w jakiej części zależy od jego łaskawości, prosilibyśmy go, aby nam dozwolił oddychać przynajmniej własnem powietrzem, bo doprawdy nie z naszej winy czuć tu nie „po polsku“.

Jenerał Boie snać nie bardzo obeznany z wypadkami historycznymi zeszłego stulecia, inaczej winien przecież wiedzieć, że nie my wkradliśmy się do ziem, na których mieszkamy, że nie my dokonaliśmy na Polsce tego, coby w życiu prywatnem nazwano rozbojem na publicznej drodze i ukarano ciężkiem więzieniem!

Pozwolenia więc na mieszkanie tu, gdzie mieszkamy, niczyjego nie potrzebujemy, a że nasze pierwotnie czyste polskie powietrze oddechem płuc niepolskich zakażone, w tem — jak to już wyżej powiedzieliśmy — nie nasza wina.“

—

Z Bydgoszczy piszą do *Dziennika Kujawskiego* (Nr. 76):

„Będąc przypadkiem jako gość na posiedzeniu wydziału „Sokoła“ bydgoskiego, dowiedziałem się z przyjemnością, że Bracia Sokoły z nad Brdy zapatrują się poważnie na ideę sokolską i sposobią się do spełnienia położonego w nich zaufania przez urządzenie w tym roku zlotu żupowego. Zdziwiłem się jednakże wielce, że Sokoli bydgoscy mało doznają poparcia u tych warstw narodu, które winny być pochodnią życia narodowego. Uniewinniają się niektórzy, że „Sokół“ bydgoski występuje jako stronnictwo. Na to odpowiadam, że podobne zapatrywanie jest mylne, a zarazem pokazuje, że nie zrozumiano przewodniej myśli sokolskiej. Otóż znaną jest, a przynajmniej być powinno rzeczą, że Sokolstwo polskie nie jest stronnictwem, a tem mniej koteryą polityczną, gdyż dąży do do tego, aby połączyć pod jeden sztandar ludzi dobrej woli bez względu na polityczne przekonania. Poza obrębem „Sokoła“ wolno objawiać różne zdania, pod warunkiem oczywiście, aby uszanować odmienne przekonania, jeżeli takowe nie są szkodliwe dla sprawy narodowej.

Polki bydgoskie chcą na wzór swych sióstr inowrocławskich sprawić sztandar Sokołowi. Mamy nadzieję, że myśl ta znajdzie oddźwięk w całej bydgoskiej Polonii.“

—

Gazeta Toruńska (Nr. 77) donosi:

„Urodziny ks. Bismarcka po większych miastach nie wypadły zbyt świetnie. Chorągwie powywieszano przeważnie tylko na gmachach rządowych. W Toruniu na rynku zauważyliśmy chorągwie tylko na czterech budynkach miejskich i rządowych. Natomiast ze Sztumu donoszą nam, że tam nietylko na dwóch przez katolików zamieszkałych domach, lecz nawet na kościele katolickim wywieszono chorągwie z okazyi urodzin ks. Bismarcka. Jak wiadomo, w Sztumie toczą się między ks. proboszczem a parafianami polskimi spory, które już kilku parafian zaprowadziły do więzienia. Jeżeli ks. proboszcz polecił ową chorągiew wywiesić, to będzie on chlubnym wyjątkiem w obozie katolickim, który poeta bismarkowski w „Deutsche Tages-Zeitung“ arcypoetycznie piętnuje jako schwarze Mistkäfer, Schranzen der Hölle, Lichtscheuer Totengräber ekler Kreis, Nachtgeschmeis i Gewürm, tj. robactwo, które zdeptać należy. Z powodu obelg miotanych na katolików przez organ niemieckiego związku rolników i niezganionych przez zarząd tegoż powiada gdański „Volksblatt“, że byłoby to hańbą dla każdego katolika, gdyby chciał nadal należeć do związku rolników. Tak urodziny pierwszego kanclerza, zamiast zjednoczyć Niemców wszelkich wyznań i przekonań politycznych, odnowiły tylko dawne nienawiści i walki, które rozrywały łono niemieckiego narodu za rządów ks. Bismarka“.

—

„Gazeta Grudziądzka“ pisze w Nr. 43:

„Co do wiadomości, dotyczących postanowień Koła polskiego w parlamencie w sprawie ustawy przewrotowej, które czerpiemy — o ironio losu! — z pism niemieckich, to zupełnie nie wiemy, co w obec nich powiedzieć, jesteśmy bowiem, jak zresztą wszystkie inne pisma polskie, w tej mierze bez wszelkich informacyi ze strony Koła polskiego. W obec szczegółowych informacyi, dotyczących postanowień Koła polskiego, z któremi się spotykamy w pismach niemieckich, odczuwamy tem bardziej zupełny brak łączności między Kołami naszemi, a poszczególnemi organami prasy polskiej.

Niektóre pisma poruszały przed niedawnym czasem sprawę jawności obrad w Kołach naszych, my będąc za warunkową jawnością, nie wygłaszaliśmy umyślnie zdania naszego, aby nie podsycać swarów dziennikarskich, dziś jednakże, kiedy widzimy, że jest jawność obrad dla prasy niemieckiej, gdy tymczasem dla prasy polskiej tejże jawności nie ma, dziś nie mamy powodu krępować się jakiemikolwiek względami. Domagamy się więc stanowczo warunkowej jawności obrad, tj. żądamy, aby Koła nasze informowały prasę polską o swych postanowieniach, mianowicie, gdy chodzi o tak ważne sprawy, jak projekt do ustawy „przewrotowej“.

Wyborcy mają bowiem wszelkie prawo domagać się takich informacyi od swych reprezentantów“.

—

„Orędownik“ tak pisze w jędrnych artykułach p. t. „Bojkot partyi dworskiej, a Związek antipolski.“ (Nr. 81 i 82:

„Na zdeptaniu siły socyalnej warstw średnich i ludu znani przywódzcy partyi dworskiej chcieli założyć panowanie swoje.

W tym celu rozwinęli — bojkot na wielkie rozmiary, — a temu manewrowi sekundowali po swojemu niektórzy księża — nawet z ambon.

I Pan Bóg pokrzyżował im szyki, nie dopuścił do zdeptania siły socyalnej zwolenników ruchu ludowego i wydał ich — na straszne pośmiewisko swoich i nieswoich.

Bo — pytamy — czy to nie palec Boży? — czy to nie straszne igrzysko, że w chwili, kiedy zwolennicy partyi dworskiej w Poznaniu, Bydgoszczy i na innych punktach prowincyi w najlepsze pracowali bojkotem, nagle jak na jakim czarodziejskim balecie stanął obok bojkotu partyi dworskiej socyusz, któremu na imię „H. K. T.“, prezentując przywódzcom partyi dworskiej jedną ręką program Związku antipolskiego, a drugą ręką wskazując: kędy droga prowadzi — do Schwedt?

Co za obraz, — co za igrzysko!“

. . . .

„Bojkot partyi dworskiej rozwinął się dość straszne. Był jakoś cicho, tajemniczo zorganizowany, coby przemawiało za tem, że musiał znaleść pewien grunt w naszych stosunkach socyalnych i zarobkowych i że te stosunki bardzo świetne być nie muszą. Z tem należałoby nam się liczyć w obec cichej walki, jaką nam Związek antipolski zapowiada.

Że bojkot partyi dworskiej znalazł pewien grunt, pokazało się na tem, że nie tylko znaleźli się ludzie, którzy bojkot proklamowali i propagowali, ale i w samych kołach kupieckich i przemysłowych byli tacy, którzy postrach bojkotu roznosili, jedni istotnie w dobrej wierze, z strachu, drudzy, żeby sobie reklamę robić i na tem zarabiać. Pierwsi chodzili w Poznaniu po handlach i warsztatach i wprost bojkotem grozili; przy kupnach wyraźnie mówili, iż nie kupiliby, gdyby kupiec lub przemysłowiec do ruchu ludowego należeli. Byli tacy lekarze, którzy pod pretekstem swego zawodu nachodzili domy wieczornemi wizytami — nieproszeni i wypytywali o stosunki z ruchem ludowym! Dziś jeszcze są tacy, którzy w Poznaniu grożą kupcom, że nie będą od nich kupowali, jak się ich inseraty pojawią w „Postępie“ lub „Orędowniku.“

Smutna rzecz, że w rzędzie tych bojkotowców znajdowali się i znajdują się jeszcze niektórzy księża, którzy w ten sposób po niektórych handlach polskich w Poznaniu głośno się odzywają, lub po cichu za bojkotem agitują.

Bojkot szerzył i szerzy jeszcze niemałą demoralizacyą śród tych kół naszych kupców i przemysłowców, którzy w gruncie rzeczy próżniacze prowadzą życie, wyzyskiwaniem patryotyzmu się ratują i zaszc[...]

WŁADYSŁAW RABSKI.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

OSOBY:

Dr. Zygmunt Wolski, naczelny redaktor dziennika politycznego.
Mieczysław Kostecki, współpracownik Wolskiego.
Czesław Ostrzyński, dziennikarz.
Hr. Władysław Warecki, obywatel ziemski.
Karol } jego dzieci
Marta }
Michał Ruszczewski, daleki krewny i domownik Wareckich.
Melanja Wadyyńska, kuzynka Wareckich.
Maurycy Wisłowski, fabrykant.
Modliński } obywatele ziemscy.
Leski }
Franciszek Turkiewicz, stary służący.
Marynka } pokojówki.
Frania }
Służący II.
Pani Helena }
Pan Henryk } goście.
Pani Zofia }

Goście balowi. — Lokaje.

Rzecz dzieje się w Wielkiem Księstwie Poznańskiem w akcie I. w willi pani Wadyńskiej, w drugim na wsi u Wareckich, w III. i IV. w mieszkaniu Wolskiego.

Akt I.

Scena przedstawia salon wytwornie urządzony w willi pani Wadyńskiej. W głębi przez wielkie okna i szklane drzwi balkonowe, na rozcież otwarte, widać z dwóch stron schody marmurowe, wiodące do parku oświetlonego mnóstwem kolorowych lampionów i ozdobionego rzeźbami oraz wodotryskami. Po prawej i lewej stronie drzwi wiodące do dalszych salonów. Mężczyźni ubrani we fraki, kobiety w toaletach wieczorkowych. W chwili podniesienia kurtyny słychać oklaski za sceną i wołania: Brawo!

Scena I.

Wolski, Modliński, Ruszczewski.

OSTRZYŃSKI (*za sceną na prawo*):
Zatem w górę kielichy panowie! Niech żyje przyszły poseł, niech żyje hr. Karol Warecki!

(*Modliński, Wolski, Ruszczewski wchodzą z balkonu do pokoju i przez chwilę wsłuchują się w brzęk kielichów.*)

RUSZCZEWSKI.
Pi! Pi! coś tam wesoło się bawią. Ostrzyński huczy i huczy (*zaciera ręce i śmieje się ironicznie*).

MODLIŃSKI.
Zdrowie przyszłego posła! Co pan na to, panie Wolski?

WOLSKI.
Że hrabia Karol nigdy posłem nie będzie.

MODLIŃSKI.
Pan popiera Wisłowskiego, ale ta kandydatura nie może liczyć na powodzenie. Kierunek wasz za młody i niebezpieczny w stosunkach naszych.

WOLSKI.
Niebezpieczny?... To wy na trzęsawisko naród prowadzicie, bo kierunek polityki obecnej schlebia ambicyi szlacheckiej, lecz szkodzi interesom ogółu. Czas zresztą zerwać z zasadą, że każdy szlachcic wioskowy jest urodzonym świecznikiem narodu, a my, na których powijakach nie było haftowanych koron, pionkami bez znaczenia i siły. Ten lud, którym gardzicie, rozwija się i rośnie.

RUSZCZEWSKI (*ogląda się trwożnie*).
Ciszej panowie, ciszej.

MODLIŃSKI.
My nie gardzimy ludem, panie Wolski, ale żądamy, aby i nam wzgardy nie rzucano. Fałszem jest, że osobiste ambicye kierują polityką posłów szlacheckich, fałszem, że dla nas głos ludu jest pustym dźwiękiem jedynie. Dla was wystarcza herb i korona, by na ich właściciela rzucać kamieniem potępienia. Szlachcic! — wara na latarnię z nim. Rachujcie dobrze, bo ziarno, które rozsiewacie wydać może zgubne owoce. Łamiecie solidarność wyborczą i dogodzenia interesom stronnictwa torujecie drogę kandydatom niemieckim.

WOLSKI.
Bez przesady, panie Modliński! Wobec rozbicia obozu niemieckiego z tej strony żadna niebez[...]

piają w kołach jeszcze nie zdemoralizowanych przekonanie, że kupiectwo i przemysł mogą na tej drodze coś zyskać. Że ta demoralizacya osłabia w nas siłę zarobkową, którą jedynie zasłaniać się możemy przed Związkiem antipolskim, to rzecz jasna. Że partya dworska, pracując bojkotem, pracowała nad osłabieniem naszej siły obronnej w obec Związku antipolskiego, to także jest jasną rzeczą.“

—

„Goniec Wielkopolski“ pisze w Nr. 82.

„Społeczeństwo polskie w Zaborze pruskim spoczywa w stanie odrętwienia — na arenie politycznej rozpostarło się zobojętnienie, „powagi“ nasze siedzą cichuteńko jak trusie i strzelając oczyma, to w prawo to w lewo, baczą, czy nie znajdzie się człowiek, któryby umiał nadać jednolity kierunek naszej domowej polityce „powagi“ nasze nadsłuchują, czy nie odezwie się gdzie echo jakich „przyjacielskich zwierzeń parlamentarnych“ ale jak dotąd, wytężają zmysły swe nadaremnie.

Inne stronnictwa, młodsze, a liczbą zwolenników bezwątpienia silniejsze, przypatrywały się dość długo tej „gnuśności“ naszej politycznej aż wzięły się do pracy i oto usłyszymy niebawem znowu z łona społeczeństwa głos odzywający się do posłów naszych w Parlamencie.

Zgubny konserwatyzm naszych Kół poselskich objawia się w tem, że przez cały czas każdorazowej kadencyi zaledwie kilka „zdradzonych“ wiadomości lub nowinek dociera do usz wyborców.

Potrzeba koniecznie naprawy tych stosunków

Oświadczyliśmy już przed 4ma laty, i dawniej jeszcze, jasno i dobitnie, że Koło nasze — parlamentarne potrzebuje „odrodzenia,“ zmiany krwi i wyłączenia żywiołów suchotniczych, które krępują rozwój narodowej polityki. — Na nic nie zdały się widocznie zawody doznane — na marne idzie praca kilku posłów znajdujących się obecnie w mniejszości. — Butny arystokratyzm i polityczna kołowacizna tak silnie połączyły jednostki, decydujące większością swych głosów w Kole parlamentarnem, że wszelkie zabiegi w tym względzie okazały się dotąd bezskutecznymi.

Polityka ugodowa nauczyła nas wybierać posłów albo na ślepo — albo też z poręki „notablów“, ta sama polityka ugodowa uśpiła w społeczeństwie ducha inicyatywy. Czy posłowie nasi zdawali nam wyborcom w ogóle jakie sprawozdanie z czynności swych w Berlinie?

Gdyby nie jednostki, poczuwające się do tego obowiązku, gdyby nie stałość zasad i charakteru nielicznych niestety, a zasłużonych starszych posłów naszych, mogliby nam wrogowie śmiało cisnąć w oczy:

Polacy „owczym pędem“ wybierają posłów swoich — nie troszczą się o nic — nie żądają nawet sprawozdań od tych, których zaszczycili względnie obarczyli mandatem. Cała polityka w Zaborze pruskim spoczywa w ręku kilkunastu wtajemniczonych jednostek i kilku dziennikarzy mających koneksye i chęć do pracy — reszta albo żyje z dnia na dzień bezmyślnie, albo też uchyla się od pracy.

— — —

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Srpski Glas“, główny organ Serbów, mieszkających w Dalmacyi i w ziemiach chorwackich, podnosząc potrzebę organizacyi Serbów w tychże krajach, pisze o założeniu serbskiego banku w Zagrzebie:

„Serbowie, którym Chorwaci odmawiają w Dalmacyi i Chorwacyi prawa nazywania się Serbami, podnoszą się z dniem każdym materyalnie i moralnie i coraz to więcej zdobywają dla siebie gruntu.

„Dawniejszy minister serbski Tauszanowicz, który żyje obecnie w Zagrzebiu, stanął na czele ruchu serbskiego i w tych dniach za jego głównie staraniem został otwarty w Zagrzebiu bank serbski. Rozkupiono dotąd 45.338 akcyi, akcyonaryuszów jest 5.300. Ciekawem jest zestawienie akcyonaryuszów według krajów, które zamieszkują:

Chorwacya i Sławonia podpisały 32.466 akcyi, Bośnia i Herzegowina 5.695, Węgry 4129, Serbia 1.425, Dalmacya 600, Dolna Austrya 564, Niemcy 200, Czarnogóra 20. Bank skierowany jest w pierwszym rzędzie przeciw instytucyom finansowym żydowskim. Chorwatów, podobnie jak Węgrów zalały kapitały żydowskie i inteligencya żydowska, na czele stronnictwa prawa stoi żyd Franko. Zamiar wyemancypowania się z pod wpływu kapitałów żydowskich został przez Chorwatów przyjęty przychylnie, choć w obozie szowinistów chorwackich nie brak było głosów oburzenia, jak śmią Serbowie w stołecznem mieście Chorwatów serbskie zakładać banki.“

* * *

Prasa słowiańska poświęca wiele uwagi Bismarkowi z powodu ostatnich bismarkowskich uroczystości. Tygodnik naukowy słoweński, wychodzący w Tryeście, *„Slovanski svet“* pisze pod nagłówkiem „Bismark pa Slovenstvo“ co następuje:

„Jak Niemcy wysoko cenią zasługi Bismarka położone na pożytek i chwałę idei wszechniemieckiej, tak Słowianie nie przeceniają szkód, które Słowiańszczyźnie całej Bismark wyrządził. Bismark miał na oku nietylko potęgę Niemiec na zewnątrz, ale głównem staraniem jego było wpływać na politykę krajów ościennych, głównie na Austryą i półwysep bałkański, gdzie niemczyzna dzięki jego wpływom i opiece walczy zwycięsko z nami. Główną zasługą Bismarka było też to, że Niemcom zjednał sojusznika w Madziarach w walce przeciw żywiołom słowiańskim. Jaka różnica w traktowaniu przez Bismarka Madziarów i Czechów! Madziarom pomagał Bismark do zdobycia samodzielności, Czechom wszelkimi siłami przeszkadzał.

„Dzięki intrygom Bismarka w niwecz zostały obrócone nadzieje Słowian, jakie przywiązywali do wojny rosyjsko tureckiej. Słowianie Turków zwyciężyli, ale owoce tej walki zabrali Niemcy. W Bułgaryi siedzi na tronie Niemiec, w Serbii przez Ob. nowiczów ma rząd niemiecki Austryi wpływ na losy tego kraju, Bośnię i Hercegowinę dziś Niemcy z Prus kolonizują.

„Wpływ Bismarka na kraje poza granicami Niemiec położone nie jest już tak silnym, jak w Niemczech samych, dla tego nie może tyle uczynić nam szkody, ileby sam pragnął. Co nas atoli, Słowian, czeka od Niemców i od polityki bismarkowskiej, tego przykład najlepszy mamy na Polakach pruskich, z którymi w sposób najbrutalniejszy walczył, do których to bezwzględnie zastosował zasadę: Siła przed prawem.“

* * *

Radykalne pismo serbskie *„Napredok“* pisze:

„Milanowi i Aleksandrowi Obrenowiczom urządziła redakcya „Figara“ w lokalu swoim „café chantant“, na które obok ojca i syna przybyli jeszcze: serbski poseł w Paryżu Garaszanin, serbski poseł w Londynie Mijatowicz i kilkunastu dziennikarzy. Przed towarzystwem popisywały się pierwsze gwiazdy „cafés chantants“ paryskich.

„Serbscy królowie byli widokiem zachwyceni. Wzruszony głęboko dziękował redaktorowi „Figara“ młody Aleksander za trudy i za to, że mu pozwolił w tak dystyngowanem towarzystwie czas spędzić“. *K.*

LITERATURA I SZTUKA.

Curiosum historyczne.

(St. Tarnowski: Nasze dzieje w ostatnich stu latach.)

(Dokończenie.)

W dziejach emigracyi główna część przypada na życiorys księcia Czartoryskiego, działalność zakonu Zmartwychwstańców, wreszcie koleje życia Mickiewicza, a w tych ostatnich pismom jego poświęcona zaledwie wzmianka — natomiast sporo czytamy o pożyciu z żoną, o tem, że dzieci przybywało, a pieniędzy nie było itd. Towianizm przedstawia się tak, jak gdyby jego cechą charakterystyczną było leczenie nerwowych chorób. Messyanizm, który rozwinął się głównie na podstawie miłości ojczyzny, pod wrażeniem jej cierpień i tęsknoty za lepszą przyszłością odegrał zresztą dość ważną rolę w dziejach naszej emigracyi i niewątpliwie zasługiwał na wzmiankę. W tej formie jednak, w jakiej mówi o nim pan Tarnowski wydaje się zupełnie niepotrzebnym i związku z całością pozbawionym epizodem.

Że Towarzystwo demokratyczne i działalność emisaryuszy nie mają łaski w oczach autora to się samo przez się rozumie. Nie można prze

---

nam klęska. My liczyć umiemy i w chwili niebezpieczeństwa spełnimy nasz obowiązek, ale dziś nie wolno nam milczeć i uznawać hegemonii waszej, do której już dawno straciliście prawo.

MODLIŃSKI.

My nie pragniemy wyłącznej hegemomonii, a ci z szlacheckiej drużyny, którzy prawo do niej stracili, i w naszem gronie znajdują potępienie. Lecz wy? Wy potępiacie wszystkich bez wyjątku.

WOLSKI.

Bo wyjątków tych nader jest mało, a gdzie o zwycięstwo idei chodzi, tam na wyjątki oglądać się nie można. W walce o zasady tylko nieubłagana konsekwencya i jednolitość taktyki powiedzie nas do zwycięstwa. Drobnych niesprawiedliwości uniknąć tu nie podobna, a jeżeli zginie kilka ofiar niewinnych, to, panie Modliński, pro publico bono.

MODLIŃSKI.

Nie macie prawa wywieszać sztandaru dobra publicznego, bo pastwicie się nad stanem, którego nie rozkład etyczny, lecz stosunki ekonomiczne postawiły na przełomie. Ostrożnie panie Wolski! Tam, gdzie wszystkie siły wytężyć trzeba w obronie narodu, tam niebezpiecznie wprowadzać sztuczny ferment nienawiści kastowej i dzielić kraj na dwa wrogie obozy.

WOLSKI.

O! my nie zapominamy o warunkach rozwoju ekonomicznego, ale trudno nam nie widzieć plam na tarczy herbowej. Armia, która dotychczas o byt narodowy walczyła, jest zgangrenowaną. My na jej miejsce wprowadzamy młodzieńczy hufiec pełen zapału i niezłomnej siły. *(Ruszczewski uśmiecha się z zadowoleniem i zaciera ręce.)*

MODLIŃSKI.

I w czemże objawia się zgangrenowanie hrabiego Karola? Młody człowiek, który świetnie ukończył studya prawnicze, dobry mówca, filar naszych kółek agronomicznych.... ja znam go mało, ale pytałem wiele o niego i słyszałem wiele.

WOLSKI.

Hrabia Karol dotychczas żadnych zasług około społeczeństwa nie położył. Że z Heidelbergu przywiózł tytuł doktora utriusque iuris, to chyba nie jest bohaterską zasługą. Dobry mówca? Polityczna wymowa jest inną od salonowego oratorstwa, a wieniec laurowy, zdobyty efektownym toastem, może w parlamencie zmienić się w dzwoneczki Poliszynela. Co do kółek agronomicznych, to w rzędzie pionierów tego ruchu nie stoi dziedzic Karłowic i dopiero w ostatnim czasie słyszałem coś o jakimś odczycie czy referacie. Reklamowano ten występ. To karta wizytowa, którą kandydat poselski odddaje.

RUSZCZEWSKI.

Captatio benevolentiae!

MODLIŃSKI.

Co? I pan Ruszczewski, krewny i domownik Wareckich, po stronie demokracyi?

RUSZCZEWSKI *(zaambarasowany)*.

Ja?.. broń Boże!... Ja tylko... widzi Pan... streściłem myśl pana Wolskiego dla uwypuklenia... rozumie Pan... tak! aby Panu ułatwić obronę.

WOLSKI.

Jeżeli krewnemu Wareckich przykrość wyrządziłem, to przepraszam. Ale w politycznej dyspucie ustąpić muszą względy towarzyskie.

RUSZCZEWSKI *(ogląda się trwożnie)*.

Nie szkodzi, nie szkodzi.

WOLSKI.

Tak! panie Modliński. Stworzyłem rozłam w społeczeństwie, aby dać impuls życiu nowemu i hołd złożyć prawdziwej zasłudze. Za Wisłowskim nie tytuły hrabiowskie, lecz czyny przemawiają. On powołał do życia spółkę konsumcyjną, on zakładał czytelnie ludowe, on założył pismo postępowe, które dziś jest moją własnością, on...

MODLIŃSKI *(przerywając)*.

To spekulant, który filantropię uważa za drabinę, wiodącą do zaszczytów.

WOLSKI.

Nie wchodzę w motywa, ale...

RUSZCZEWSKI *(przerywając)*.

Towarzystwo wraca z ogrodu.

milczeć o tem, iż nakłaniali oni szlachtę do zniesienia pańszczyzny, ale tę ich czynność uważa za zbyteczną, gdyż „szlachta cała była oddawna chętna i gotowa to uczynić“ — o czem, jak wiadomo, długo i szeroko jeszcze dysputowaćby można i czego zresztą lud tak bardzo łatwo wmówić sobie nie da. Co do uwłaszczenia, to myśl tę uważa za niesłuszną i niedorzeczną, gdyż po pierwsze: ziemi dla wszystkich by nie wystarczyło, powtóre, gdyby każdy miał ziemię uprawiać, „to nie byłoby ani rękodzielników, ani kupców, ani urzędników, ani sędziów, ani nauczycieli: życie świata musiałoby ustać“.

Tłómaczenie to wielce naiwne na głęboką naiwność czytelników obliczone. Pod obdarzeniem ziemią ludności bezrolnej nie rozumiało przecież ani towarzystwo demokratyczne, ani jego emisaryusze wypędzania rzemieślników z warsztatów, ani sędziów z trybunału; nie zamierzało też profesorów uszczęśliwiać kilku zagonami kartofli lub kapusty.

„W ślad za emisaryuszami, namawiającymi do powstania, chodzili po wsiach galicyjskich inni ludzie przewrotni i niegodziwi“, którzy namawiali lud do napaści na dwory. Kto byli ci „inni ludzie“, zkąd się wzięli, — o tem ani wzmianki, że zaś — jak odkrył autor — i emisaryusze ze swej strony radzili zabijać szlachtę, powstaniu niechętną, więc naturalnie czytelnik pomyśli, iż do rzezi popychał chłopów cały naród i ci, co chcieli powstania i ci, co mu byli przeciwni — prócz naturalnie szlachty!

W tym razie lojalność względem rządu posuwa stanowczo po za dozwolone przez sumienie granice i woli rzucić potwarz na własny naród, niż stwierdzić znany fakt przewrotności austryackiej.

Szlachta — w opowiadaniu p. Tarnowskiego — tak jest apoteozowaną, przedstawia się tak doskonałą, nieomylną, anielską, że zaprawdę płakać tylko wypada z żalu za owym czasem, gdy cała jedna liczna warstwa narodu z samych świętych się składała. — Gdzież ci ludzie tak zniknęli bez śladu? czemu nie zostawili potomków? „Cała szlachta“ — czytamy — po rzezi galicyjskiej miała tylko uczucia przebaczenia i wyrozumienia dla tych, co zabijali — a „ani na chwilę goryczy, nienawiści do ludu, ani mściwości“. To wszystko działo się podobno nie w niebie, tylko w Galicyi. Szczęśliwy kraj, któryby choć przez kilka lat miał taką szlachtę. Nie wiem, czy po za tem zdarzył się kiedy w dziejach, na jakimkolwiek punkcie kuli ziemskiej wypadek taki, aby klasa ludzi mordowana, męczona, katowana niewinnie, nie zdradziła najlżejszym objawem naturalnych skłonności swej ludzkiej, ułomnej natury.

Rewolucyjny rok 1848, jak się spodziewać można było, naraża znowu p. Tarnowskiego na tysiączne sprzeczności i całkiem dowolną interpretacyą faktów. Wypadki, które zaszły w Niemczech i w Prusach, a na położenie Polaków w zaborze pruskim tak ważny wpływ wywarły, pomija całkiem pobieżną wzmianką: „W Poznańskiem wybuch powstania był tak słaby, że go prawie wcale nie było.“ Dalej znów czytamy, że król pruski „zrzekł się zaraz swych rządów absolutnych i dał konstytucyę“ – na tych kilku słowach ograniczają się wszystkie wiadomości, jakie o dziejach pruskiego zaboru przed kulturkampfem książeczka podaje. — Jest to istotnie treściwość i zwięzłość w tym razie chyba nadmierna.

Zaburzenia rewolucyjne w Austryi nabawiają autora niemało kłopotu, dla tego też opisuje je w sposób pozostawiający czytelnikowi mnóstwo wątpliwości. Początek brzmi tak, jak gdyby cała sprawa poszła niezmiernie gładko a lud jednym zamachem cel marzeń swych osiągnął. „Cesarz przyrzekł swobody obywatelskie poddanym, swobody narodowe wszystkim narodowościom, radość była powszechna.“ Dla czego ta radość długo nie trwała, autor nie wyjaśnia. Mówi tylko: „Burzliwe czasy mają to do siebie, że z jednego rozruchu rodzi się drugi, po jednych żądaniach przychodzą nowe: robi się z tego zamięszanie coraz gorsze, które trwa dopóki go wreszcie ktoś silny wojskiem nie stłumi. Tak bywa zwykle, tak było w tym roku 1848.“ „Radość powszechna“ skończyła się więc tem, że „ktoś silny“ (*nomina sunt odiosa*) bombardował Kraków, Lwów, potem Pragę czeską, potem były zaburzenia w Wiedniu, „stan rzeczy tak się pogorszył“, że na ulicach miasta były walki, „własną stolicę cesarza musiało wojsko dla niego zdobywać“; po zdobyciu srogi odwet, wyroki śmierci, rozstrzeliwania, więzienia. Naturalnie winni tu byli ludzie nieroztropni, wichrzyciele, burzyciele itd. — Jaką rolę w tym razie rząd odegrał, o tem się naturalnie przez grzeczność dla dynastyi nie mówi. Dla czego cesarz, który dał wszystkie „prawa i swobody“, czem wywołał „radość powszechną“, musiał później własną stolicę zdobywać, a kilka miast swego kraju bombardować — to jest i pozostaje dla czytelników zagadką. Dla p. Tarnowskiego zaś jest rzeczą całkiem naturalną, że „ktoś silny“ armatami radość narodu zagłusza i bombami przekonywa ludy domagające się swobód o ich lekkomyślności i nieroztropności.

Wśród takich warunków wstąpił na tron Franciszek Józef i tu już położenie p. Tarnowskiego staje się nad wyraz kłopotliwem. Monarcha, przy którym pan hrabia wraz z innymi Stańczykami „stoi i stać chce“ nie zawsze na aprobatę zasługiwał — tego zaprzeczyć nie można, trzeba się więc chwytać wybiegów. Otóż winnym Franciszek Józef nie mógł być nigdy, ale był, niestety, młodym i miał złych doradzców. Ci „rozumieli słusznie, że powstanie na Węgrzech i we Włoszech stłumić należy“ ale tego nie rozumieli, że „rządząc po dawnemu nowe przygotują zaburzenia“. — „Metternicha nie było, ale duch jego został“. — Naturalnie najłatwiej odpowiedzialność złożyć na tego „ducha“; nie obraża się przez to nikogo i stanowiska lojalnego nie porzuca, zwłaszcza, jeśli się później nadmieni, że wszystko złe usunął potem Cesarz „mądrością i sprawiedliwością swoją“, gdy do lat „męzkich“ doszedł. Że tej „mądrości i sprawiedliwości“ nauczyły go wojny włoska i pruska, tego czytelnik domyśleć się może, choć autor podnosi fakt, że Franciszek Józef „z własnego popędu, bez żadnych zaburzeń i żadnego nacisku nadał konstytucyę“. Szkoda tylko, że trochę długo się namyślał i dziwnie wolno do lat męzkich dochodził, ale monarchowie nie zbyt szybko doświadczenia nabywają i w szkole życia do najpilniejszych uczniów nie należą.

Autor, jak widzieliśmy, w ogóle nie zbyt łaskaw na wszelkich rewolucyonistów, najsurowiej jednak potępia Włochów za ich dążenia do swobody i niepodległości. Płynie to naturalnie ztąd, że obracały się one przeciw dwom, dla p. Tarnowskiego najsympatyczniejszym potęgom: Habsburgom i Papieżowi. Bezbożne rewolucye włoskie „niby to“ miały na celu zmuszenie Papieża do oświadczenia się za niepodległością Włoch, właściwie jednak Kościół do upadku doprowadzić pragnęły. Później słyszymy, że król sardyński i hrabia Cavour umieli trafić do przekonania Napoleona tłómacząc, że panowanie Austryi w Lombardyi i Wenecyi sprzeciwia się zasadzie narodowości, co, mówiąc nawiasem, było tak oczywistem, że nie daje bynajmniej dowodu ich nadzwyczajnej elokwencyi. Autor nie przypisuje im jednak tak czystych i jasnych pobudek, lecz twierdzi, że „po cichu obiecywali sobie, że — jeżeli Francuzi zdobędą im i oddadzą Lombardyę, to potem oni już wypędzą wszystkich mniejszych książąt włoskich i zrobią jedno wielkie królestwo pod królem sardyńskim“, zamilcza fakt, że takich nadziei nie potrzebowali żywić „po cichu“, że dążność do zjednoczenia była wśród narodu włoskiego dość dawną i powszechną, wskutek czego z wyjątkiem państwa Kościelnego i Austryi nikt poważnego nie stawiał oporu.

Naturalnie jednak dążność ta, w oczach autora zbrodnicza, była tylko zamachem na Kościół katolicki i wiarę; król włoski sam się jej wstydził, a Napoleon na popieraniu jej nic nie zyskał, bo zamiast kilku małych i słabych książąt miał w sąsiedztwie wielkie królestwo włoskie.

WOLSKI (*n. s.*)

A! Marta.

(*przez drzwi balkonowe wchodzi Marta, Warecki, Melania i goście.*)

Scena II.

Ci sami, hr. Zygmunt Warecki, Marta, Melanja, Pani Helena, Pani Zofia, pan Henryk i liczne grono gości. (*Ruszczewski i Modliński witają się z nowoprzybyłymi.*)

PANI HELENA.

Cudowny wieczór!

PANI ZOFIA.

Superbe! magnifique!

PAN HENRYK.

Willa pani Melanii to raj zaklęty. Co za położenie! (*zwraca się ku drzwiom balkonowym*) Cały park kąpie się w blaskach lampionów, a w dali lśniące jezioro i wieże miejskich kościołów.

(*Wszyscy goście grupują się koło drzwi balkonowych i w park spoglądają. Wolski zbliża się do Melanii i Marty, witając je serdecznie.*)

WOLSKI (*półgłosem do Melanii*).

Czy już?

MELANJA (*również półgłosem*).

Za chwilę. Drżę cała. (*głośno do reszty towarzystwa*) A teraz proszę do refektarza (*wskazuje drzwi na prawo*). Przed wieczorną regatą trzeba się posilić, bo sił nie starczy wioślarzom naszym do walki.

PANI ZOFJA.

Gdzież reszta młodzieży?

RUSZCZEWSKI (*uśmiecha się*).

Jak zwykle. Baczek milszy od kobiety. (*wskazuje na prawo*). Bawią się tam aż miło.

WARECKI.

Poczciwy Ruszczewski! o wszystkiem zawsze poinformowany.

RUSZCZEWSKI (*zaambarasowany*),

Ja... przepraszam...

MELANJA.

Niechaj się bawią. Lecz na regatę gwałtem ich zabierzemy. Proszę państwa. (*Wskazuje drzwi na lewo. Wolski podaje ramię Marcie. Warecki wskazuje oczami na Wolskiego i szepce z Melanią na stronie.*)

PANI HELENA (*zatrzymuje się na chwilkę przed drzwiami, spogląda na Martę wychodzącą i mówi na stronie do pana Henryka*).

Marta est ravissante! Gdybym była mężczyzną, szalałabym z miłości.

PAN HENRYK (*n. s. do pani Heleny*).

Co do mnie, to wolę gosposię naszą. Wdówki to słabość moja, a pani Melania upaja jak szampan.

PANI HELENA (*n. s.*)

Powiedz pan: Jak wino stare (*śmieje się*).

PAN HENRYK (*n. s.*)

O! vous êtes méchante.

(*Wszyscy wychodzą oprócz Melanii i Wareckiego.*)

Scena III.

Melanja, Warecki.

WARECKI.

Zkąd ten Wolski w domu twoim, Melanjo? Zkąd ta poufałość z Martą?

MELANJA.

Wiesz wuju dobrze, że w salonach moich gromadzą się przedstawiciele różnych obozów, a zresztą, to jeden z najszlachetniejszych ludzi, przytem literat znany, dramaturg znakomity.

WARECKI.

Popierajże sobie talenta i strój salony w graciki literackie, ale ten Wolski to wróg naszej rodziny, to demagog i socyalista. Wiesz dobrze, że on jest redaktorem „Trybuny“, a „Trybuna“ to bicz na szlachtę. Rozumiesz? Il est rouge.

MELANJA.

Nie znam się na polityce. Wiem tylko, że to człowiek uczciwy, szlachetny i zdolny.

WARECKI (*z uśmiechem*).

No, no! ten zapał....

MELANJA.

Wuj jesteś złośliwy.... a choćby zresztą i tak było, cóż w tem nadzwyczajnego?

WARECKI.

Przez litość, Melanjo! Ten Herostrat spo

Sympatye p. Tarnowskiego stale towarzyszą monarchom, a odwracają się od ludów — i to tak dalece, że nawet zamach stanu Napoleona, zamach, który był tak niesumiennem, tak jaskrawem pogwałceniem prawa narodu, usprawiedliwia, utrzymując, iż znowu wywołali go wichrzyciele, którzy jątrzyli umysły i podnieśli bunt w Paryżu w końcu 1851 r., czem podobno „spokojni i porządni obywatele“ byli oburzeni i przerażeni.

Burzycielem i wichrzycielem, który bez powodu wszczął rozruchy i lud bezbronny po ulicach miasta mordował, był tu przecież sam Ludwik Napoleon. Buntu nie było, a opozycya była tak niespodzianie zaskoczoną, nieprzygotowaną i niezorganizowaną, że na żaden stanowczy krok zdobyć się nie mogła. Tym znanym powszechnie wypadkom ośmiela się p. Tarnowski zaprzeczyć, byle mieć okazyę do powtórzenia ulubionej piosenki o wichrzycielach i burzycielach.

Jak się autor zapatruje na powstanie 1863 r. i wypadki, które je poprzedziły, tego łatwo domyślić się można, — znając jego polityczne zasady. Wielopolski naturalnie ma jego całkowite uznanie, jednakże — zupełnie słusznie zresztą — zarzuca mu niezręczność. Demonstracye — ma się rozumieć — potępia, zwłaszcza śpiewy pobożne a patryotyczne po kościołach nazywa środkiem „nieuczciwym“ i „obrazą Boską“. — Nie chodziło bowiem o uproszenie łaski Boskiej, lecz o drażnienie rządu i ludności, która — jak sam zresztą pisze — „myślała, że jakąś pomoc Boską, jakiś cud wyprosi i wymodli“.

Dziesięć stron dalej, wspominając przychylność Piusa IX dla powstania, opowiada, iż Papież „ogłosił po całym świecie jubileuszowe odpusty i modły na intencyę Polski“, a w Rzymie uroczystą na ten cel urządził procesyę. Czy i to było „obrazą Boską“ i środkiem „nieuczciwym“ — nie objaśnia. Ojca św. nazywa przyjacielem „dobrej sprawy“, z czego wynikałby chyba ten wniosek, że Włochom i wszelkim innym narodom o zmartwychwstanie Polski modlić się wolno, — Polakom zaś nie . . . . Zasada istotnie osobliwa.

Głównym powodem powstania było: „że nie chcieliśmy przestawać na jakiejś tam ugodzie z Rosyą, bo nam się zdawało, że prędzej czy później przyjdą takie wypadki, które nas od niej oderwą. Ale wyrachowanie było złe! „Takie wypadki, jeżeli w przyszłości przyjść miały, to byłyby przyszły i tak.“ — To znaczy chyba, że nad oswobodzeniem kraju pracować powinien ktokolwiek, byle nie Polacy, że rolą ich powinnna być absolutna bierność i bezczynne oczekiwanie, póki wolności nie odzyskają przypadkiem. Wypadków, przychodzących przez się, nie wywołanych przez ludzi, w całym ciągu dziejów nie pamiętamy, przypuszczać więc nam trzeba, że sprowadzić je miała interwencya państw innych i że na nią autor liczyć nam każe. I to nie, jednak — czytamy bowiem dalej — taką z przebiegu powstania wysnutą naukę: „nigdy na obcą pomoc liczyć nie należy, ani się na nią oglądać, bo ona zwykle zawodzi. Ludzie, jeżeli pomogą, to mocnemu jeszcze czasem, ale słabemu nigdy. Na siebie tylko można liczyć śmiało i pewnie“.

Mimo najszczerszych chęci uważny czytelnik pragnący jakieś wskazówki z dziełka p. Tarnowskiego wyciągnąć, trudzić się będzie daremnie: Raz każe nam liczyć na niezależne od nas „wypadki“, innym razem na „siebie“, — o cud prosić „nie godzi się, sił trwonić nie należy“; — jeśli nam poleca czekać cierpliwie — to zaraz wkrótce odbiera wiarę w to, abyśmy się czegoś doczekać mogli. I tak źle i tak nie dobrze.

Całe dzieje powstania zawarł na jednej stronicy, — ze trzy stronki poświęca rokowaniom dyplomatycznym.

Z uczestników powstania, czy wodzów, czy też członków rządu narodowego lub organizacyi nie wymienia absolutnie żadnego, nie wspomina też ani jednej bitwy, ani jednego ważniejszego wypadku. Chociaż powstanie 1863 r. nie było wojną na wielką skalę, lecz partyzancką ruchawką, choć sławnych kierowników nie miało, to jednak byli tam ludzie, wyróżniający się odwagą i poświęceniem, ludzie zasługujący na wzmiankę więcej np. niż nieznany syn Pawła Popiela, śp. Jan Popiel, który — jak w książeczce pana Tarnowskiego czytamy — zginął w jednej z utarczek między wojskiem papieskiem a Garybaldczykami. Dla czytelników polskich dzieje powstania polskiego większy przecież przedstawiają interes niż wewnętrzne włoskie zatargi, większy niż familijne sprawy galicyjskiej arystokracyi, niż wesele krakowskie, któremu przyglądał się cesarz Franciszek Józef w roku 1880, najpierw z balkonu pałacu „pod Baranami“, potem w Sukiennicach, „dokąd pobiegł bez płaszcza, tylko w mundurze“. Ale z punktu widzenia p. Tarnowskiego wesoła zabawa, na cześć jego cesarskiej mości urządzona, przedstawia się jako fakt poważny, godny uwiecznienia w dziejach; uważa on nawet za słuszne zaznaczyć, że drugie wesele huculskie, na które cesarskie oczy spoglądały tegoż roku w Kołomyi, na prawdę do cerkwi pojechało i ślub wzięło.

Wobec tych doniosłego znaczenia wypadków bohaterstwo młodzieży, która krew na polu bitew przelewała, męczeńska śmierć mężów powieszonych na stokach cytadeli, — jest w jego oczach drobnostką, niegodną wzmianki.

Oto jak dzieje narodu naszego rysują się przed wzrokiem dostojnego hrabiego, gdy na nie spogląda z tej wyżyny, z której do nas „zstąpić“ raczył.

O ile treściwemi są dzieje powstania, o tyle obszernym opis prześladowań rosyjskich po jego upadku. Tu naturalnie chodziło o dwie rzeczy: o wykazanie złych skutków lekkomyślnej walki i o wywołanie jak najgorętszego uwielbienia dla austryackiego rządu przez jaskrawsze uwydatnienie kontrastów.

Z okazyi kulturkampfu wspomina nareszcie autor i dzieje pruskiego zaboru. Dotychczas książeczka zawierała tylko — prócz dwóch krótkich wyżej cytowanych wzmianek — uwagę, odnoszącą się do epoki po wiedeńskim kongresie. Z niej dowiedział się czytelnik, że nie działo się tam ani źle, ani dobrze, i że namiestnikiem był książę Radziwiłł z księżniczką pruską ożeniony. Po za tem — nic. Cała historya naszej dzielnicy przemilczana zupełnie. Jakim był nasz los, nasze położenie, jak z nami postępowano, co uczyniliśmy sami, to wszystko pozostaje dla czytelników tajemnicą. A jednak w ciągu tego całego długiego okresu w życiu naszem poważne zachodziły zmiany; stosunek nasz do rządu różne przechodził koleje, mieliśmy epoki żywszego narodowego ruchu, mieliśmy zasłużonych mężów, jak Marcinkowski, tworzyliśmy narodowe instytucye, które potem inne dzielnice na swój grunt przenosiły. To wszystko przecież zasługiwało choćby na krótkie sprawozdanie....

Jeżeli p. Tarnowski uważał za słuszne rozszerzać się nad tem, co w Galicyi dzięki dobrodziejstwom rządu austryackiego uczyniono, toć o wiele więcej pouczającem byłoby opowiadanie tego, co u nas mimo niełaski pruskiego rządu uczynić zdołano. Tymczasem wbrew wygłoszonej zasadzie, że należy nam samym na siebie liczyć, siły skupiać, wzmacniać się i t. d. — opowiada ludowi dzieje nasze w ten sposób, jak gdyby los nasz wyłącznie od osobistego charakteru i przymiotów panujących nam monarchów zależał.

Opowiadanie swe o prześladowaniach, jakie pod rządami Bismarcka religia nasza i narodowość znosić musiały, kończy apoteozą rządów Wilhelma II (któremu — jak się od dostojnego autora dowiadujemy — Leon XIII bardzo dobrych rad o postępowaniu względem Polaków udziela) i gorącym pokłasku dla posłów naszych, których głosowaniu za reformą wojskową bardzo doniosłe i korzystne dla kraju przypisuje znaczenie. Nie obeszło się naturalnie bez ostrej reprymandy dla malkontentów. Owi „niby to wielcy miłośnicy ojczyzny i ludu, a na prawdę przewrócone głowy i przewrotne duchy starają się wmawiać w lud po miastach i w..ach, że spokój i porozumienie z rządem, to zdrada ojczyzny. Podkopują tedy wszelkiemi siłami wpływ

---

leczny, ten sanskulota! Przyznam ci się, że podobne zdanie nie dziwiłoby mnie w ustach jakiej tam miejskiej panny, ale ty.... ty w ekstazie dla tego Robespierre'a. To więcej jak dziwne (*wzdryga ramionami*).

MELANJA.

Może dziwne, ale nie myślę się wypierać moich sympatyi, które zresztą podziela i... Marta.

WARECKI.

Marta?

MELANJA.

Tak.... ją właśnie.... zamierzałam....

WARECKI.

Co się tu stało?.... No! mówże!

MELANJA (*zaambarasowana*).

Kiedy.... ej! nic już nie powiem.

WARECKI.

Żądam wyjaśnienia. Marta jest córką moją.

MELANJA (*po krótkiej chwili wahania*).

Dobrze więc. Wolski oświadczył się przed tygodniem o rękę Marty.

WARECKI (*wybucha śmiechem*).

Zwaryował! (*z nagłym przestrachem*) Ale.... jakto? Ona mu drzwi nie pokazała?! Co się tu stało? Czy wy obie postradałyście zmysły?

MELANJA (*z naciskiem*).

Marta kocha Wolskiego.

WARECKI.

Co? I ty przypuszczasz, że ja się zgodzę? I ty sądzisz, że ja nie znajdę odwagi, aby w puch rozbić fantazye dziecinne, a jego posłać do oficyn moich po żonę?

MELANJA.

Wuju!

WARECKI.

Ani słowa! Ja stoję na straży rodu Wareckich i spełnię mój obowiązek. Czy kto wie o tem wszystkiem?

MELANJA.

Nikt.

WARECKI.

To dobrze. Jabym się spalił ze wstydu.

MELANJA.

Sądzę jednak, że Marta kocha za szczerze, by usłuchać wuja. To natura skłonna do uniesień i egzaltacyi. Niech wuj zatem dobrze rozważy, bo ona gotowa przypłacić to zdrowiem, albo....

WARECKI.

Albo?

MELANJA.

Skandalem.

WARECKI.

Z miłości nikt nie umiera, a skandal.... (*wzdryga ramionami*) to już mnie pozostaw. Jestem ci bardzo wdzięczny, że Martę przez całą zimę i wiosnę w domu swoim gościłaś, ale powiem ci otwarcie: Spodziewałem się innych rezultatów po karnawale i konkurentów innych jak tacy Wolscy. Przecież znasz moje stosunki.

MELANJA.

Ja serc sprzedawać nie umiem. To nie kawał mięsa.

WARECKI.

A może to kokarda demokratyczna. Ale ja popsuję panu sanskulocie apetyt na szampana. Ostrygi dla chłopa! Wyśmienicie!

MELANJA.

Więc to ostatnie słowo twoje, wuju?

WARECKI.

Ostatnie.

MELANJA.

Wuju....

WARECKI.

Przestań już. Idę rozprawić się z Martą. (*Wolski staje w drzwiach po lewej stronie.*) Warecka za Wolskiego! to arcykomiczne! (*zwraca się ku drzwiom*).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

i powagę tych ludzi, którzy dotąd sprawy Wielkopolski i w kraju i w Berlinie mimo wszelkich trudności roztropnie i szczęśliwie bronili".

Pan Tarnowski naturalnie informacye swoje czerpał wprost od naszych panów ugodowców. Dziś, gdy zupełnie niespodzianie nie przez nas wywołany zwrot w Berlinie nastąpił, gdy już i pruscy ministrowie otwarcie wyznają, iż o żadnych ustępstwach dla Polaków, o żadnem wynagrodzeniu ich lojalizmu nawet nie myślano, gdy polityka ugodowa zdyskredytowana kompletnie do niezaprzeczonego doszła bankructwa, pana Tarnowskiego metoda popierająca „wpływ i powagę tych ludzi, którzy w Berlinie spraw kraju bronili", wraz z nią ośmiesza się tylko i upada.

Opowiadanie ostatniej epoki dziejów Galicyi zajmuje stosunkowo najobszerniejszy rozdział książki, co jest zresztą zupełnie usprawiedliwionem ze względu na jej domniemanych czytelników. W opowiadaniu tem jednakże lwią część stanowią życiorysy „wielkich mężów", jakich ta dzielnica wydała, reszta jest apoteozą ich działalności i rządów.

Bez wątpienia pożytecznem jest wykazanie ludowi korzyści, jakie ze swobód konstytucyjnych kraj wyciągnąć zdołał, ponieważ jednak — o ile wiemy — Galicya nie jest jeszcze wyspą szczęśliwości, ponieważ lud jej, lepiej niż my stosunków miejscowych świadomy, wątpliwości na tym punkcie nie ma i mieć nie może, stanowiłoby może dla niego niejaką pociechę, że ci, którzy ster jego losów dzierżą, z wad i braków sprawę sobie zdają, odczuwają je i do usunięcia ich dążą. Bezwzględne uwielbianie wszystkiego, co się uczyniło lub czyni, nie zamknie im oczu na codziennie odczuwane cierpienia, raczej wzbudzi w nich pewną nieufność względem tych, dla których czcią czołobitną i ślepą wiarą natchnąć pragnęło. I pod tym względem więc przypuszczać można, że cel książeczki i to cel główny chybionym zostanie.

Zważywszy, że książka o historyi traktująca, a będąca z prawdą historyczną w rozbracie, nie może być ani czynnikiem oświaty, ani źródłem wiadomości pożytecznych, nie możemy się łączyć z hołdem dziękczynnym, który feljetonista z „Dziennika" wszystkim sercom polskim suggerować pragnie, — głęboko przekonani, że tym razem „Z n o j e" pana Tarnowskiego poszły na marne.

I. Moszczeńska.

Napoleon I i Marya Walewska.

W głośnem dziele Fryderyka Masson p. t. „*Napoléon et les femmes*" (Paris, éditeur Ollendorf. 1894.) znajdujemy wiązankę ciekawych szczegółów o stosunku „wielkiego parweniusza" do pani Maryi z Łączyńskich Colonna Walewskiej.

Czy w książce p. Masson obszerny rozdział, poświęcony pani Walewskiej, całkowicie zgadza się z prawdą, czy niektóre, zbyt może romantyczne tegoż epizody, z rzeczywistości, czy też i z bujnej wyobraźni autora pochodzą, o tem niech orzekną historycy z zawodu. My, czerpiąc dziś przeważnie z książki p. Masson, treści tejże bądźcobądź musimy się trzymać, jakkolwiek są tam ustępy, tak dla polskich panów uwłaczające, że się na nie żadną miarą zgodzić nie można bez stanowczych i autentycznych dowodów, których autor nie podaje.

Owóż więc, gdy w początkach roku 1806 Napoleon z Pułtuska udawał się do Warszawy, na jakiejś małej stacyi, gdzie konie zmieniał, zastąpiła mu drogę młoda, piękna, uwielbieniem dla bohatera rozpromieniona amazonka. Powitała cesarza gorącemi słowami — ogólnego wówczas w Polsce — zapału. „Ze wszystkiego, co mamy zamiar dla waszej cesarskiej Mości w kraju uczynić, nic nie dorówna nigdy doznanemu przez nas szczęściu, że go na polskiej ziemi witać możemy.". Każdy polak z owych czasów byłby równie entuzyastycznemi wyrazami Napoleona witał, ale wyrazy te, pochodzące z ust kobiety ładnej, jak w obraz święty w cesarza wpatrzonej, nabierały jakiejś rzewnej serdeczności, jakiegoś nieopisanego wdzięku, pełnego znaczenia dla władcy, chcącego i umiejącego polaków oczarowywać. Podał więc Napoleon młodej amazonce bukiet, żądając, by mu za kwiaty podziękowała... w Warszawie.

Marya z Łączyńskich Colonna-Walewska, w siedemnastym roku życia niemal przemocą wydana za starszego o całe pół wieku od niej milionowego pana, smutny pędziła żywot na zamku w Walewicach. Jedyną jej pociechą był kilkoletni jedynak, dla którego o wszelkich marzyła powodzeniach, o wszelkich zaszczytach, o wszelkiem szczęściu. Tem to powodowana uczuciem, umyśliła ona złożyć Napoleonowi po drodze hołd swój osobisty, zanim urzędowe przyjęcie w stolicy nada entuzyastycznej recepcyi charakter narodowej manifestacyi. I ztąd wynikło owe wśród pól i lasów spotkanie na stacyi w Broniach.

Ale oddawszy tak cześć cesarzowi, pani Walewska cichaczem do Warszawy powróciła i jedynie siostrę swą Jabłonowską do sekretu wtajemniczywszy, i, o ile być może, od wszelkich oficyalnych usuwała się recepcyi. Z natury nieśmiała, nie znająca i nie lubiąca świata, o tyle tylko widywała ludzi, ile tego mąż od niej wymagał. Pokazało się wszakże niebawem, że dyskrecya siostry była ułudną. Opowiedziała ona bowiem najbliższym krewnym „pod wielkim sekretem" wycieczkę ową pani Walewskiej i spotkanie z Napoleonem, krewni zaś ci swoim znów krewnym wiadomość tę udzielili, i tym sposobem z nitki do kłębka doszła rzecz cała aż do księcia Józefa Poniatowskiego. Tenże umyślił wówczas zaraz uknuć spisek, by młodą kobietę, dotąd w towarzystwie warszawskiem niemal nieznaną, w wir świata wciągnąć i tym sposobem zaraz na wstępie przypodobać się cesarzowi. Jął zatem tłomaczyć p. Walewskiemu, że żona człowieka, mającego taką, jak on, społeczną pozycyę, nie powinna się odsuwać od oficyalnych recypcyi, danych dla cesarza. Ale pani Walewska ani słyszeć o tem chciała, i trzeba było aż z małżeńską wystąpić powagą i wyraźnym rozkazem, aby się nazajutrz zaproszona na bal udała. Jak najskromniej ubrana, by tylko na siebie nie zwrócić uwagi, jedzie tedy z mężem pod „Blachę". Uradowany na widok wchodzącej pary książę Józef, zaraz na wstępie zaczyna się półgłosem z panią Walewską przekomarzać, szepcąc, „że ją cesarz dostrzegł, gdy tylko do sali weszła... że sobie kazał po dwakroć nazwisko jej powtórzyć... że, spostrzegłszy jej męża, rzekł z serdecznem politowaniem: Biedna ofiara! i t. d." Tymczasem naokoło młodej kobiety roją się najświetniejsze mundury z owego tak świetnego cesarskiego sztabu, co spostrzegłszy Napoleon, postanawia odrazu najbardziej pani Walewskiej nadskakujących oficerów z Warszawy wydalić. Jednemu każe jechać bez zwłoki z rozkazami do Wrocławia, a drugiego aż do samego Paryża z depeszami wysyła, sam zaś, nie chcąc młodej, nieśmiałej kobiety płoszyć, mówi z nią mniej, niż z innemi, ale mówi „inaczej", pół szeptem, jakby wzruszonym głosem. Zaniepokojona, ale przecież w niewinności swej żadnego nie przypuszczając niebezpieczeństwa, pani Walewska, z balu do domu wróciwszy, zastaje na toalecie list następującej treści:

„Nie widziałem, tylko ciebie. Nie podziwiałem, tylko ciebie. Nie pożądam, tylko ciebie. Odpowiedzi bardzo szybkiej błaga, by ukoić niecierpliwe uczucia. *N.*"

Z najwyższem oburzeniem list do kominka wrzuciwszy, nie domyśla się nawet, ludzi i świata nieświadoma kobieta, że jej spokój zakłócony już zostanie na zawsze, że na takowy nietylko sam Napoleon nastawać będzie, że odtąd nowa w życiu jej rozpoczyna się epoka, w której pod stopami jej róże rosnąć będą, ale zawsze już srogich kolców pełne. A tu też znowu dodać winniśmy, że cały następujący z kolei opis tej karty z życia Napoleona w książce p. Masson, podać należy z zastrzeżeniem, twierdzenia jego bowiem żadnemi nie poparte są dokumentami

---

JAROGNIEW.

Chora miłość.

(*Dokończenie.*)

Gdy poruszyłem się raz gwałtowniej, myślała może, że mi się znudziły te pieszczoty długie, — wyprostowała się zwolna, schwyciła mnie za ręce i spojrzała w oczy pytająco, prawie trwożliwie, prawie ze smutkiem, i jakby mi mówić chciała:

— Nie gniewam się na ciebie, że przerywasz pieszczoty nasze, — przecież na ciebie gniewać się nie mogę. .

— Czy chcesz? może ci śpiewać? — rzekła i już powstała, aby iść do fortepianu.

Śpiewać? — Czemuż schwyciłem ją w pas wtedy i zacząłem mówić szybko, natarczywie, aby nie śpiewała, aby tylko nie śpiewała? —

— Czemu?! — Może byłoby inaczej dzisiaj, gdybym zasłyszał głos jej wtedy. — Przeczucie jakieś ostrzegało mnie. Bałem się, aby jej śpiew szalony nie wywarł na mnie znowu swojego czaru, — aby mi nie pomięszał zmysłów, nie upokorzył, zmiażdżył, unicestwił mnie. — Tak mi było dobrze z tą przewagą nad nią, — a ten śpiew, ten śpiew napełniał mnie strachem a duszę moją walką rozpaczliwą.

Jednak ja jestem podły, — podły nędznik.

Dosyć mi tej komedyi, dosyć udawania przed samym sobą, — nie będę kłamał teraz wobec siebie, — niech świat się zapadnie, niech mnie dyabli wezmą: jestem podły, nędzny!

Brutalnie pragnąłem nad nią panować, — jedyną miała broń, którą upokorzyć, zdeptać w proch mnie mogła: śpiew cudny, nadziemski. Więc brutalnie broń tę jedyną jej odebrałem, a ona, ten anioł, ta święta, poddała się woli mojej i złożyła na mojem ramieniu główkę z takiem zaufaniem bezgranicznem, z taką wiarą w moje serce, — o, gdyby ona wiedziała, jakie uczucia w niem były!

Mówiła, że jego bicie spokojne, jak dziecię, do snu ją ukołysze. Ido, w niem nie było spokoju, wrzała w niem burza dumy, pychy i strasznej.... strasznej . . . . . nie wiem, nie wiem czego — boję się wyznać.

Bo teraz znam, rozumiem swoje chęci, na dnie mojej duszy leżało coś, jakby pragnienie odwetu, zemsty za te męki, które przebyłem dla niej. Tyle katuszy wycierpiałem, więc pragnąłem widzieć ją ciągle taką słabą, taką niewolnicą mojej woli, jaką była wtedy, — bo rozkosz sprawiała mi myśl, że ona, przed którą kiedyś w proch padałem, dla mnie zupełnie wyrzekła się siebie. Chciałem, aby choć w części pojęła, co ja biedny przebyć musiałem; więc nieraz potem, gdy byłem u niej w następne dnie, i siedziała taka spokojna, cicha, marząca obok mnie, przychodziły mi myśli szalone do głowy. Prawie bałem się tych pokus, ale szeptało mi coś wyraźnie w duszy: — ach, dyabli, wstręt to we mnie wzbudza, były to głosy takie zniką powstające, jakby nie moje, jakby mi je obcy duch podsuwał.

Dlatego nic, nie — ja zawsze ją uwielbiałem, teraz widzę, jak dotąd ją kocham. Całowałbym jej rączki białe i szeptał o tem co piersi mi rozpiera; — gdybyś ty była zemną, gdybyś ty była.

Tylko ta wyższość nad nią poddawała mi rolę jakąś szorstkiego, nieczułego kochanka, a roli tej porzucić nie umiałem na swoje nieszczęście. Miałem czasem chwile, w których byłbym padł przed nią na kolana i łzami się zalał i błagał tę świętą o przebaczenie, — ale ten dumny wściekły, ten duch przeklęty we mnie mroził słowa moje i robił mnie szorstkim i brutalnym.

I właśnie w chwilach, kiedy wyczerpane, jakby śpiąca, leżała w moich objęciach, kiedy pragnąłbym duszę jej oddać w pocałunku, stawałem się sztywnym, marszczyło mi się czoło i poczęściej ruchem jakim gwałtownym przerywałem pieszczoty nasze.

Wtedy spoglądała mi prosto w oczy trwożliwym, niespokojnym wzrokiem, jakby się lękała, że mnie straci kiedyś; — a taki smutek widniał w nim i na ustach drżących, jakby płaczem, że skałęby poruszyła tem swojem spojrzeniem. A ja czułem, że serce mi topnieje na jej widok i byłbym

żadnym listem, ani bodaj podpisem autor ich nie poświadcza.

Owóż więc — pisze p. Masson — co tylko było w Warszawie ludzi światłych, zacnych, poważnych, kraj swój miłujących, nagabywało młodą kobietę, aby sobie cesarskich hołdów nie lekceważyla. Gdy się pani Walewska wymawia migreną, by nie być obecną na obiedzie dworskim. „jeden z najstarszych i najbardziej szanowanych członków rządu krajowego“, a którego tylko autor nazwać nie raczy, ostrym odzywa się do niej głosem: „Wobec tak ważnych dla całego narodu okoliczności, wszystko ustępować winno. Do godziny obiadu należy się pozbyć migreny. Jedynie obecnością swoją dowieść pani możesz, że jesteś dobrą polką“. Na tę samą nutę odzywa się i pan Walewski, z całą dobroduszną ślepotą zaufanego a starego męża. Składa się zatem wszystko na zgubę ośmnastoletniej kobiety, wszystko, z wyjątkiem — jak dotąd — jej własnego serca. Póki czuje, że serce to jest wolne, będzie się też pokusie opierać i mężnie sławy swej bronić, ale z dniem, w którym takowe postrada, zwycięztwo będzie po stronie cesarza i jego „zacnych“ popleczników. I gdyby to nawet na rodzaj sprzeczności nie wyglądało, możnaby prawie powiedzieć, że pani Walewska nietylko w ciągu owej walki wewnętrznej, ale nawet po zaprzestaniu tejże, niezwykłą w takich okolicznościach okazała szlachetność i wyższość uczuć, nigdy bowiem żadna nie kierowała nią myśl ambitna, ani żądza osobistego wywyższenia. Uległa Napoleonowi dopiero, gdy go pokochała, a pokochawszy, wszystkie, iście po kobiecemu, dojrzala w nim umysłowe i duchowe doskonałości. Jeżeli też do kogo, to do pani Walewskiej zastosować się daje z pod polskiego pióra wyszły piękny dwuwiersz:

Nie ma większej rozkoszy na ziemi i niebie,
Jak znać, czcić i kochać wyższego od siebie.

Nigdy nie był się dotąd Napoleon spotkał z tak bezinteresowną, niemal idealną miłością, Jemu, któremu na świecie nic już imponować nie mogło, zaimponowała wielkoduszność tej polskiej pani, dla siebie nic zgoła przyjąć nie chcącej, lecz dopominającej się uporczywie, namiętnie o dotrzymanie danej obietnicy względem kraju. Czy wdziękiem i wrodzoną dystynkcyą pani Walewskiej, oraz coraz to gorętszem dla niej uczuciem oczarowany, w samej rzeczy dawał jej Napoleon takie solenne przyrzeczenia, jak to p. Masson stanowczo twierdzi, rzecz to trudna do skonstatowania, skoro tajemne schadzki ich nie miały świadków. Co wszakże dowiedzionem jest na pewne, to, że znany już stosunek cesarza z piękną polką, mnogie rozbudził w kraju nadzieje, ale niestety! i niemniej mnogie osobiste ambicye. Co do pana Walewskiego najprzód, to ten z właściwem w takich wypadkach zaślepieniem, w hołdach jego żonie przez cesarza oddawanych, widział tylko potwierdzenie jej niezrównanego wdzięku i zadatek nowej a świetnej dla kraju przyszłości. Gdy zaś nadejdzie dzień, w którym nawet ten poczciwy, dobroduszny mąż jasno wreszcie przejrzy i do Walewic wyjedzie, sytuacya separowanej z nim żony nie będzie miała owego rażącego charakteru nieprawidłowego a zdrożnego położenia. Pamiętać też należy, że piętno XVIII wieku jeszcze się nie było w Polsce całkiem zatarło, o czem świadczą liczne w owym właśnie czasie rozwody, a nadto, że p. Walewska odznaczająca się charakterem wyższym od innych kobiet, w jej położeniu będących, własnemi ambitnemi widokami nikomu drogi nie zagradzała, i ani cesarskim kochankiem, ani otaczającemi go osobistościami wszechwładnie rządzić nie pragnęła. Według słów p. Masson „wcielała ona w sobie wszystko, co jest najwdzięczniejszego i najszlachetniejszego w polskim narodzie“.

Przy niebawem rozpoczynającej się nanowo kampanii, pani Walewska Napoleonowi towarzyszy natychmiast aż do Finkenstein, gdzie w starożytnym ponurym zamku spędza kilka niewesołych miesięcy, nikogo jej bowiem przyjmować niewolno, a Napoleon, prowadzeniem wojny zajęty, zaledwo raz na dzień może do Finkenstein zaglądać. W nadziejach też swych coraz głębiej zawiedziona, upokorzona przeświadczeniem, że marzenia, którym honor swój poświęciła, pozostaną marzeniem, pani Walewska nie zgadza się na żądanie cesarza, aby mu do Paryża towarzyszyć w r. 1808, a czyni to naturalnie w końcu tylko o tyle, o ile kobieta rozkochana jest w stanie mieć wolę przeciwną woli tego, którego miłuje. Przelotny wyraz smutku na twarzy bohatera, odblask łzy w oku starczą tedy, by rozwiać całą budowę jej postanowień; jedzie więc z nim do Francyi, a i później podąża za Napoleonem do Schönbrunn, by się tam upajać promieniami z dnia na dzień wzrastającej, a dotąd w dziejach świata niewidzianej sławy olbrzymiego zdobywcy Europy. W maju roku 1810 p. Walewskiej rodzi się syn, znany późniejszy minister Napoleona III. I matka i dziecko największą są otoczeni troskliwością, a do troskliwości tej chciałby cesarz dołączyć i wszelki możliwy zbytek, lecz pani Walewska rozrzewnionem sercem za pierwszą tylko dziękuje, drugi zaś stanowczo i stale odrzuca. Ubiera się gustownie, ale skromnie: klejnotów nie nosi, bo swoich nie ma, a cesarskich nie przyjmuje. Dużo później dopiero miała się dowiedzieć o zapewnionym dochodzie 50,000 franków dla jej syna.

Gdy zaś niebawem czarne nagromadzą się nad cesarstwem chmury i zasłonią ową tak długo, tak jaskrawo świecącą gwiazdę Napoleona, gdy cesarzowa Marya-Ludwika zamiast los męża dzielić, nieobecnością i zupełnem brakiem wiadomości o sobie i synu, do tylu krwawych cierni jeden jeszcze, i to nie najmniej dolegający, doda, gdy Napoleon, niemal od wszystkich opuszczony, w niedoszłem samobójstwie dla skołatanej duszy ujścia szukać zamyśla, wtedy spłakana i srodze strapiona pani Walewska, całemi dobami przy drzwiach jego siedzieć będzie, wyczekując chwili ukazania się umiłowanej postaci cesarskiego kochanka. Tak było w Fontainebleau, i tak samo będzie na wyspie Elbie, gdzie szlachetna polka, wraz z synkiem, ponury pobyt cesarza obecnością swoją osładza. Wszystkie też te dodatnie wyższe strony jej duszy stwierdziwszy, niemal z żalem w końcu dodać przychodzi, że zaledwo w rok po wywiezieniu Napoleona na wyspę św. Heleny, a we dwa lata po śmierci własnego męża, pani Walewska w powtórne weszła małżeńskie związki, oddając rękę hrabiemu d'Ornano, świetnemu oficerowi „wielkiej armii“. Jeden z nielicznych towarzyszy cesarskiego wygnańca na dalekim oceanie twierdzi, że Napoleon, który nie przypuszczał, aby istota przez niego kochana, mogła kiedykolwiekbądź innego ukochać, zachowawszy przytem najczulsze w głębi serca dla pani Walewskiej wspomnienie, gdy się dowiedział o jej powtórnem małżeństwie, doznał wrażenia, że mu się sprzeniewierzyła i boleśnie tem był dotknięty. Ale tymczasem niedługo miał trwać ów powtórny pani Walewskiej związek, już bowiem w rok po ślubie, hrabina d'Ornano, powiwszy syna, zmarła w Paryżu dnia 15 grudnia 1817 roku. *L.*

Listy z Paryża.

(*Skandynawska i niemiecka literatura w Paryżu. Lemaître, jako pisarz dramatyczny. Daudet, Gyp i Lavedan. Dążenia emancypacyjne kobiet francuzkich. August Vacquerie.*)

Rzec można, iż dopiero od lat kilku Francuzi interesować się poczęli cudzoziemskim ruchem literackim. Początkowo zapoznali się z powieściami Turgeniewa, stale aż do śmierci mieszkającego w Paryżu, tłomaczono następnie na język francuzki innych rosyjskich autorów, obecnie zaś, jakkolwiek mistycyzm Tołstoja dość licznych znajduje zwolenników pomiędzy tutejszą publicznością, rzucono się przeważnie ku wielbieniu pisarzy skandywskich, to jest Ibsena,

---

się wpił w jej usta pocałunkiem i każdą myśl o łzach z nich wycałował, ale tak mnie jakieś więzy w naszym stosunku omotały, że mnie ta czuła rola wobec niej prawie wstydziła, i zwalczałem te pokusy urocze i pozostawałem na pozór niewzruszonym, trzpiotowato wesołym i sztucznie swobodnym. Może wstydziłem się wzruszenia każdego, — aby mi znowu, jak kiedyś, nie powiedziała: tyś taki biedny, taki chory. —

Ido, — ja siebie nie pojmuję, nie rozumiem, ja nie wiem, co mi było, ale już wtedy zaczęły się znowu dla mnie zgryzoty jakieś i bóle, których sam sprawcą byłem. Doprowadziły one do tego, co się stało owego okropnego dnia, ale ja za to niewinien, niewinien.

Było to krótko przed wieczorem; — gdy szedłem do niej, zachodziło słońce w krąg czerwony i jaśniało takiem weselem...., — ale zdaje mi się, że było coś w tem uczuciu, co mi mówiło, że to ostatnie w mojem życiu wesele. — Czemuż tego tak jasno nie poznałem wtedy! —

Była tego dnia jakoś dziwnie podraźnioną i zarzuciła mi ręce na szyję i wpatrywała się długo we mnie, a po jej twarzy przechodziły jakieś kurczowe błyski. Odwróciła potem oczy odemnie i wpatrzyła się gdzieś w przestrzeń bezbrzeżną, — a była tak dziwnie podraźnioną.

— Wiesz ty, — rzekła po chwili, jakby we śnie czy w malignie, a nie wiem, skąd w niej myśli te się brały, — wiesz ty, o czem myślałam teraz? Myślałam, cobym zrobiła, gdyby mi ciebie wzięli; umarłabym pewno — a może by mi serce nie pękło? Podobno wielka boleść nie zabije, tylko zatruje życie. — Nie wiesz ty nic o tem? — Co — nie wiesz? —

I wstrząsnął nią dreszcz, a ja udawałem swoję szorstką swobodę i wesołość, choć na dnie duszy było mi tak smutno, tak smutno? —

— Ale ty mnie nie opuścisz, prawda? — Ja wiem, że ty także umarłbyś bezemnie, choć czasem jesteś taki niedobry, — mówiła potem i przytuliła się do mnie i zaczęła twarz moję okrywać pocałunkami.

Oddech jej upajał mnie, pieszczoty stawały się coraz gorętszemi, aż w końcu, jak wyczerpana, z oczyma błyszczącemi, jak po śnie głębokim, złożyła czoło na piersiach mych, jak códnia, tylko bardziej rozmarzona, miękka, jak codnia. — Wywierała na mnie wpływ upajający zmysły, odurzała mnie.

Mną jakieś rozszalałe uczucia targały. Rzewność, współczucie, uwielbienie, miłość, żal i duma ta moja i wyniosłość, — to wszystko odzywało się wemnie i wytwarzało jakąś burzę, — że zacinałem zęby z bólu. — Raz byłem bliskim omdlenia, — to znowu zwyciężał wemnie na chwilę ów brutalny człowiek. Potrzeba mi było wtedy burzy, walki, strasznej walki, zapasów olbrzymich, w którychbym wszystkie siły ducha wytężyć musiał, aby zdławić ten niepokój wewnętrzny. — Aż zmitrężony w końcu, przyprowadzony do ostatka, żachnąłem się gwałtownie, i uwalniając się z objęć jej, nie wiedząc sam jeszcze po co, jakby wiedziony potrzebą wewnętrzną, zacząłem ją prosić, aby mi śpiewała tę samą pieśń, co wtedy, — tę szaloną, — jak huragan dziką.

Niech się to skończy raz, — myślałem, — nie zniosę dłużej tego położenia nienaturalnego, tego kłamanego stosunku.

Ona spojrzała na mnie, w pierwszej chwil strwożona, prawie krzykła z przestrachu, gdy tak nagle się porwałem. — Potem, gdy pobiegłem do fortepianu i zasiadłem na taburecie, aby jej akompaniować, — znowu przymknęły się powieki jej, — wstała wolno, i splatając ręce w tyle głowy leniwie, była jakby ze snu przebudzona.

— Śpiewać mam, śpiewać, — szeptała, jakby nawpół przytomnie.

Zbliżyła się do fortepianu i stanęła za mną. Z początku śpiew jej rozlegał się bez owej zwykłej mocy. „Vivra, contende il giubilo“ wydobywało się z piersi jej przytłumionym głosem, jakby przezwyciężać się musiała. Zwolna jednak, jakby dźwięki własnego jej głosu działały porywająco na nią, śpiew jej potężniał coraz bardziej, — zdawało mi się, że widzę, jak za mojemi plecami prostuje się dumnie, jak oko jej nabiera blasków błyskawicy. W małym pokoiku giełczało coraz to potężniej. Słuchałem cały w oczekiwaniu, silniejsze tony zaczęły porywać mnie znowu swoją potęgą i budzić w mojej duszy jakby de-

Strindberga, lub niemieckich jak Hauptmanna, lub Sudermanna. Przetłomaczono skutkiem tego kilkanaście powieści i utworów dramatycznych z rosyjskiego, szwedzkiego i niemieckiego. Jest to dość ograniczone zapoznanie się z literaturą tych trzech narodów, wszakże francuzki szowinizm uląkł się tego wdzieranie się barbarzyńców, zaczęto nad tem boleć, rozważać, wreszcie orzeknięto, iż żaden z owych cudzoziemskich autorów nie posiada odrębnej oryginalności, i że każdy z nich wszystko zawdzięcza temu lub innemu mistrzowi francuzkiej literatury. „Po stu lub pięćdziesięciu latach, powiada p. Juljusz Lemaître, podają nam przyrządzone na swój sposób ideje J. J. Rousseau, Balsac'a lub George Sand. Kiedyż się skończy ta nasza północomania? Czas się opamiętać i odwrócić od tych autorów tumaniących nas mgłą i mrożących śniegiem.“

P. Juliusz Lemaitre powstrzymując swych rodaków od zapoznawania się z obcą literaturą, oddaje im usługę bardzo wątpliwej wartości, a stanowisko przez niego zajmowane nadaje doniosłość jego słowom; Juliusz Lemaitre bowiem jest jako krytyk uważany za następcę Sainte-Beuve'a; każdy jego artykuł jest przedrukowany chociażby w wyciągach tylko przez główniejsze dzienniki, a każdy jego utwór wystawiany na scenie, stanowi epokę. Tej zimy, przed paru tygodniami, Teatr Komedyi francuzkiej i Teatr Gymnase, wystawiły prawie równocześnie dwie nowe sztuki Juliusza Lemaitre: „L'äge difficile“ oraz „Le Pardon“. W pierwszej z tych sztuk (cieszących się dość umiarkowanem powodzeniem) autor chciał udowodnić, iż ludzie starsi wiekiem, powinni dobrowolnie się zrzekać chęci kierowania dorosłemi swemi dziećmi, albowiem jeżeli tego nie uczynią, narzucana przez nich tyrania bywa i być musi buntem powstrzymaną. W sztuce pod tytułem „Le Pardon“, Juliusz Lemaitre wykazuje słabość natury ludzkiej, sądzi, iż powinniśmy się powstrzymać od surowego sądzenia jedni drugich, nikt bowiem nie może być pewnym, czy za chwilę nie popełni czynu, który dopiero co potępiał. Utwory dramatyczne I. Lemaitre mają tę dobrą stronę, iż zyskują przy odczytaniu, co stanowczo świadczy jeżeli nie o wartości filozoficznych poglądów autora, to o zręcznej i świetnej jego argumentacyi.

Wśród świeżo wydanych powieści, „La Petite Paroisse“ przez Alfonsa Daudet, doznaje wielkiego powodzenia. (Powieść ta wychodzi obecnie w polskim przekładzie w dodatku warszawskiego „Przeglądu Tygodniowego“). Streścić je w paru słowach niepodobna, notujemy więc tylko, iż jest to psychologiczne studyum uczucia zazdrości. Żona zdradziła męża i opuściła go, uciekając z kochankiem. Zdradziła chociaż nie kochała, raczej z nudów, w chęci szukania wrażeń. Porzucona przez kochanka, powraca do męża, który nie przestał jej kochać i cierpiał katusze w czasie jej nieobecności. Przebacza on powracającej i szczęśliwe życie rozpoczynają na nowo. Alfons Daudet okazuje się stanowczym zwolennikiem wyrozumiałości, współczucia i przebaczenia.

Gyp (pseudonim hrabiny de Martel) napisała książkę: „heurs âmes“, w której przedstawia nam „dusze“ modnego i wytwornego świata, ujawniające się nam w całej swej banalności i nicości w rozmowach jakby żywcem pochwyconych przez autorkę. Trudno być dowcipniejszą, a zarazem głębszą moralistką jak Gyp. Ironia jej nie rani, lecz ośmiesza, sztuka jej polega na umiejętnem chwytaniu chwili najjaśniej oświetlającej sylwetki, którą chce czytelnikowi przedstawić. W tymże samym rodzaju pisze swe książki Lavedan, autor dopiero co wyszłych z druku „Les Marionettes“. Pawła Hervieu należy również zaliczyć do tejże samej kategoryi pisarzy-ironistów, forma jego utworów jest wszakże odmienną, Gyp i Lavedan pisują obrazki oderwane i dyalogowane, a Hervien przedstawia swych bohaterów i bohaterki w powieściach większych rozmiarów. Ostatnia jego powieść „L'Armature“ wyszła przed kilku dniami. Główną jej postacią jest baron Jaffre posiadacz olbrzymiego majątku, około którego tłoczy się zgraja czcicieli złota. Jakim jest gatunek i kierunek myśli przeprowadzonych przez Pawła Hervieu, najlepiej scharakteryzuje chociażby to jedno jego określenie: „czem jest pokój bawialny, salon?... Jest to pokój, którego pożyteczność polega na bezużyteczności. Strojny i wyczekujący strojnych i wiecznie paradujących figur, jest miejscem dokonywania bezcelowych, próżniaczych czynów, przy odgłosie czczych i konwencyonalnych rozmów.“

Jeszcze przed niedawnym czasem, zaledwie kilka lat temu, kwestya równouprawnienia kobiet napotykała samych tylko przeciwników, ośmieszających wszelkie usiłowania, podjęte w tym kierunku. Obecnie sprawa stanęła na właściwem stanowisku, kobiety francuzkie organizują pomiędzy sobą kółka coraz liczniejsze o programach racyonalnych, i dających się streścić w słowach: kobiety powinny dążyć do pozyskania wolności pracy i dowolnego rozporządzania swym zarobkiem, zdobywszy bowiem niezależność w zakresie ekonomicznym, pozyskają jako naturalne tego następstwo równouprawnienie integralne.

Na czele ruchu w tym kierunku stoi we Francyi pani Schmahl, doktorka medycyny, wydająca pismo „L'Avant-Courrière.“ Pozostawiając na boku walczenie o zdobycie praw politycznych, pani Schmahl opracowała między innemi projekt reformy, dążącej do zapewnienia kobiecie prawa rozporządzenia pieniędzmi przez nią zarobianemi, obecnie bowiem kobieta jako *małoletnia wobec prawa*, jest pod tym względem na łasce i niełasce męża, który może roztrwaniać jej majątek, lub pracą zdobywany zarobek. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że żądanie pani Schmahl stanie się wkrótce prawem, uchwalone przez Izbę deputowanych. Maleńka ta na pozór reforma, będzie wtedy olbrzymim krokiem naprzód, początkiem rzeczywistego równouprawnienia.

Stowarzyszenie „Solidarité“, którego prezydentką jest pani Magdalena Brès, (pierwsza pomiędzy francuzkami doktorka medycyny, broniła tezy w r. 1867) zorganizowało popularne wykłady naukowe niedzielne, w salach ratuszowych najludniejszych dzielnic Paryża. Szereg wykładów rozpoczęła pani Brès w 20-tym cyrkule miasta. Przedmiotem jej konferencyi jest Hygiena. W sali ratusza innego znów cyrkułu, panna Chavin doktorka prawa, mówić będzie o teraźniejszem prawodawstwie, a pani Pillet doktorka medycyny, o: przeciążaniu fizycznem i umysłowem ludzkiego organizmu. Pani Potonié-Pierre, sekretarka stowarzyszenia „Solidarité“, zawiadamia w dziennikach, iż konferencye są już zapewnione na kilka miesięcy.

Przed paru tygodniami zmarł w Paryżu August Vacquerie, założyciel dziennika „Le Rappel“, w którym od r. 1869 pisywał codziennie wstępny artykuł, wypowiadając myśli podniosłe, głęboko demokratyczne, owiane miłością ludzkości i dążnością wyzwolenia myśli z ciasnoty sekciarskich formułek. August Vacquerie był nieodstępnym towarzyszem Wiktora Hugo począwszy od r. 1840. Był z nim na wygnaniu podczas trzeciego cesarstwa, a po śmierci wielkiego poety był opiekunem literackiej jego spuścizny, dobierając i wydając pisma po nim pozostałe. Vacquerie napisał niemało wartościowych książek jak: Miettes de l'histoire, Futura, kilka tomów poezyi, oraz liczne utwory dramatyczne. „Jean Baudry“ i „Tragaldabas“ wznawiane są zawsze z powodzeniem w Teatrze Komedyi Francuzkiej. Był przytem znakomitym tłomaczem arcydzieł starożytnej literatury greckiej. Wyzwolony z religijnych pojęć, A. Vacquerie żądał przed śmiercią, by pogrzeb jego był tylko cywilny, jak pogrzeb jego mistrza Wiktora Hugo.

X.

---

monów zgraję, która rozerwać ją chciała na szmaty. Akompaniowałem już prawie niedosłyszalnie, — aż nagle jak grom ogłuszająca fala tonów wyrwała się z jej piersi, jakby krzykiem pękającego serca; — nie mogłem znieść tego śpiewu, przez Bóg żywy, bez duszybym padł, gdybym miał słuchać długo; oszaleć by mi przyszło — nie mogłem tego słuchać, nie mogłem; jakby rozpaczą gnany, podniosłem na raz ręce obie i z siłą całą uderzyłem z góry w klawisze, jak gdybym tym zgrzytem nieharmonijnym chciał zgłuszyć ten śpiew szalony, chciał go włoczyć jej napowrót w piersi, zgnieść, stłumić go od razu. —

— A! Jezus, Marya! — podniosłem się szybko i schwyciłem za głowę, a ona cofła się się o krok z szeroko rozwartemi oczyma, z jękiem, zamarłym na ustach, — tak struny harfy dźwięczące, gdy ręką je uchwycisz, nie zmilkną od razu, tylko wydadzą jęk długi, ostatni, — jakby w tym jęku skonał cały śpiew. — Potem wyprostowała się dumnie, i błyskawice dumy strzeliły jej z oczu. Dusza szamotała mi się w piersi, — nie, nie poddam się tej kobiecie, wziąłbym ją pierwej i zabił, udusił; — zkąd ona ma tę moc mieć nademną!

Zbliżyłem się cały gniewny, wzburzony do otomanki i usiadłem w jednym rogu zadumany. Widziałem, jak mierzyła mnie wzrokiem niespokojnym, w którym gorączki paliły się jakieś; rumieńce wystąpiły jej na twarz, gdy podeszła jak ja do otomanki i zasiadła w drugim rogu zapatrzona błyszczącemi oczyma w dal.

Nie zbliżyła się do mnie; — prawie mi potem żal jej było, — ale.... gdyby była złamaną, potulną, płaczącą, pojednałbym się z nią — lecz wyprostowana tak dumnie, spokojna, z temi blaskami uporu, czy jakiegoś postanowienia w oczach nie budziła wemnie współczucia, — drażniła mnie. —

Dumna kobieto, ja chcę, żebyś ty była moją, — moją niewolnicą, — cała brutalność budziła się we mnie.

— Złamię ją, złamię, zmitrężę, — powtarzały mi jakieś głosy w duszy.

I porwałem się potem i wybiegłem z pokoju, bez pożegnania, bez jednego spojrzenia, rzuconego na nią, bez pocałunku, — i to było moje pożegnanie, może na wieki pożegnanie!

To było moje pożegnanie! O droga moja, Ido moja, świecie mój — ból jakiś straszny skręca mnie w łęk na tę myśl, że cię nie zobaczę już. — Nie wiedziałem, co czynię, cóż ja za to mogę, — jestem szalony, wściekły, — ja nie człowiek, we mnie demon jakiś, we mnie duch piekielnej dumy, — a ty myślałaś, że ja to mówiłem przez usta moje, że to ja odszedłem od ciebie. — Ido! —

Ja wiem, to był grzech, ale co ja wycierpiałem, co ja przebolałem, gdy drugiego dnia poszedłem do ciebie, i....

Pamiętam, jak dziś — codzień myślę o tem, a jednak zdaje mi się, że śnię, — — pamiętam, jak dziś, — idę do niej, wchodzę do sieni hotelu, — powiada mi portyer:

— Pani nie ma, — wyjechała, — nie wiem dokąd.

Nie wiedziałem w pierwszej chwili, co do mnie mówią, — było mi, jakby ktoś mi odjął większą część mojej istoty, — ale byłem spokojny, jakby nic. Nie odparłem słowa, tylko szedłem na górę. Bo ja wiem, po co ja tam szedłem.

— Czy pan tam co zostawił? — pyta mnie portyer, gdy byłem już na połowie schodów.

— O, zostawiłem, zostawiłem tam bardzo, bardzo wiele, mój drogi. Wtedy przypomniało mi się: prawda, po co ja tam idę?

Że portyer jednak przyniósł za mną klucz, kazałem sobie otworzyć jej pokoje dwa, i zamknąłem się potem w nich, — niby, że szukać będę tego, co zgubiłem.

— Zostawiłem tu bardzo, bardzo wiele — powtarzałem machinalnie, gdy rozejrzałem się po pokoju, w którym byłem sam.

Gdy zobaczyłem się w tych samych ścianach, gdy jeszcze mnie zapach perfumy jej dolećiał, który zachowały meble, — wtedy zagotowało mi się nagle w duszy, zagryzłem usta, bo krzyk mi na nic się wydzierał, i dopiero mi było, jakbym przytomność odzyskał i pojął, com stracił.

Zbolały, złamany, oszalały, przechodziłem

Z dziedziny architektury i archeologii.

(Verzeichniss der Kunstdenkmäler der Provinz Posen III Bd. Die Landkreise des Regierungsbezirks Posen, Lieferung I, enthaltend die Kreise Posen-Ost und -West, Obornik, Samter, Grätz und Neutomischel. Im Auftrage des Provinzial-Verbandes bearbeitet von Jul. Kohte. Reg.-Baumeister, Berlin Verl. v. J. Springer 1895. Stron 76. Cena 2,00 Mk.)

Sprawa inwentaryzacyi naszych starożytnych zabytków budowlanych pokutuje już prawie lat piętnaście i nie mogła z początku wejść na tor właściwy. Jako pierwszy jej publicznie widoczny zaczątek uważać należy zestawienie i opis pobieżny, wykonany dla 22 sejmu prowincyonalnego przez budowniczego Wolffa i ówczesnego budowniczego rządowego Romana Ziemskiego. Praca ta kompilacyjna, na 34 stronach w 4to wydrukowana ograniczała się głównie na opisie kościołów naszych. była oparta na rożnych publikacyach znanych po większej części autorów i służyć miała za wskazówkę do szczegółowej publikacyi. Za przykładem innych prowincyi zamierzały początkowo tą sprawą zajmować się prywatne towarzystwa naukowe (tak i nasze Tow. Przyj. Nauk). lecz usiłowania te spełzły dla braku środków materyalnych jako też dla braku rutynowanych sił zawodowych na niczem. Jak i gdzieindziej chciał u nas zarząd prowincyonalny pierwotnie wydać tę inwentaryzacyą bez rysunków. dla tego uznano za wystarczające powierzyć tę pracę tutajszemu literatowi i rektorowi pozasłużbowemu p. Kurzmannowi, mówiącemu poprawnie po polsku, i przez to całą sprawę zabagniono. bo gdy inne zarządy prowincyonalne, które ludziom fachowym tę pracę powierzyły, już dawno dokonały zadania, my z Westfalją staliśmy jeszcze z próżnemi rękami. Gdy pan Kurzmann, ociągając się bezustannie, do podjętej pracy się nie zabierał, musiał w r. 1889 zarząd prowincyonalny zerwać zawartą z nim ugodę i po dłuższych pertrakcyach z innemi osobistościami powierzył ówczesny starosta krajowy inwentaryzacyę znanemu z kilku wartościowych prac budowlano-archeologicznych p. Jul. Kohtemu. rodem z Magdeburga, który od 1 kwietnia 1891 r. objął swe urzędowanie. Odtąd zaczęła się właściwa praca do przygotowania dzieła wartościowego, które ma się ukazać w 4 wielkich tomach, przyozdobionych wielu rycinami. wykonanemi podług zdjęć oryginalnych, uskutecznionych na miejscu, jużto w sposób mierniczy, jużto przy pomocy instrumentu fotograficznego.

Założenie dzieła ma być przeprowadzone podług następującego podziału: Tom I ma zawierać: Zarys państwowego i cywilizacyjnego rozwoju prowincyi, skreślony przez król. archiwaryusza Dra Warschauera w Poznaniu. Rzut oka na historyczny rozwój sztuki w prowincyi. Przegląd zabytków. Wykaz literatury, artystów i miejscowości. Mapa zabytków w prowincyi w podziałce 1: 500,000. Tom II: Zabytki sztuki w obwodzie miasta Poznania. Tom III: Zabytki sztuki w powiatach obwodu rejencyjnego Poznańskiego. Tom IV: Zabytki sztuki obwodu rejencyjnego Bydgoskiego.

Ażeby wreszcie po tak długiem wyczekiwaniu cośkolwiek przedłożyć, zaczęto wydawnictwo od tomu III obejmującego 2 powiaty naokoło Poznania położone oraz powiaty obornicki, szamotulski, grodziski i nowotomyski.

Publikacya nie ogranicza się na samych budynkach kościelnych, lecz zajmuje się również i świeckiemi, dalej obejmuje cenniejsze zabytki z przemysłu artystycznego jak chrzcielnice, monstrancye, kielichy, relikwiarze, nagrobki i pająki, wymienia dzwony z ich napisami, podaje w ogóle w treściwej formie jak na nasze stosunki wiele pouczającego materyału, objaśnionego wzorowemi rycinami.

W powiecie *wschodnio-poznańskim* zwraca uwagę na więcej znany z dawniejszych publikacyi polskich romański kościół św. Jana Jerozolimskiego na komendoryi za bramą warszawską i na mniej znany, a wielce charakterystyczny kościółek w Głuszynie jako wczesno-gotycki budynek z cegły.

Powiat *zachodnio-poznański* ma mniej cennych zabytków.

Z powiatu *obornickiego* zwraca najwięcej na siebie uwagę kościół w Objezierzu o pierwotnie romańskiem założeniu, a rozbudowany później w stylu późno-gotyckim: przechowuje on jeden z cenniejszych relikwiarzy, pochodzący z XIII wieku, prawdopodobnie francuskiej roboty. Dalej uwagi godna jest też fara w Rogoźnie o przejrzystym rysie poziomym i charakterystycznych sklepieniach gwiaździstych i krzyżowych.

W powiecie *szamotulskim* podpada najprzód o dobrych proporcyach w barokowym stylu wykonany kościół w Obrzycku z początku XVIII wieku o centralnym rozkładzie i o wieży nad zakrystyą wybudowanej; dalej fara w Szamotułach, którą słusznie p. Kohte za jeden z najznamienitszych kościołów prowincyi uważa, a mianowicie nad pięknemi proporcyami jej wnętrza się zachwyca: prócz tego zwraca uwagę na późnorenesansowy ołtarz jej wielki z bardzo pięknym obrazem środkowym, przy którym domyśla się malarza frankońskiej szkoły i na wielkiej piękności płytę nagrobkową Andrzeja Szamotulskiego, wojewody poznańskiego († 1511 r.), pochodzącą zapewne z pracowni Piotra Vischera z Norymbergi. Interesująco jest też przedstawiona z 2 stron stara wieża zamkowa w Szamotułach z którą lud łączy podanie o Halszce z Ostroga, i okazany naocznie jej system obronności.

Z zabytków powiatu *grodziskiego* są wymienione jako uwagi godne: monstrancya późnogotycka w kościele farnym w Buku, jako też po za miastem położona drewniana kaplica św. Krzyża o charakterystycznym rozkładzie centralnym. zapewne z r. 1609 pochodząca. Przy grodziskiej farze podoba się autorowi najwięcej zewnętrzny wygląd o 4 mniejszych i 1 środkowej większej kopule, które budynkowi dodaja okazałości; z wewnętrznych przedmiotów zaś przedstawia jako uwagi godną monstracyą późnogotycką, 2 pająki mosiężne z XVII w. z niemieckiemi orłami na czubku i pomnik Niemki († r. 1627) w stojącej postaci.

W powiecie *nowotomyskim* zwraca p. Kohte uwagę na piękną późno-gotycką monstrancyą do kościoła we Lwówku należącą; zresztą nie przechowuje ten powiat znaczniejszych zabytków z dawnych czasów.

Podmarkę do rysów poziomych użyto jednolitą 1: 400, a do szczegółów 1: 25, przez co ocenę i porównanie pojedyńczych zabytków pomiędzy sobą bardzo ułatwiono; wyjątkowo tylko znajduje się gdzieniegdzie inna pomiarka, zwykle oznaczona liczbami przy rysunku. Do rysunków podanych zużyto, gdzie było możliwem, istniejące już zdjęcia, lecz z odpowiednim krytycyzmem t. j. z poprawką ich niedokładności lub nieścisłości. Gdzie nowe dołączono rysunki wolnoręczne n. p. kilka perspektywicznych widoków, tam oddają one to, co w zabytku jest najważniejszego, z większym naciskiem aniżeli to możliwem jest przy cynkotypicznie z fotografii wykonanych przedstawieniach zabytków przemysłu artystycznego, w których czasem kontury nie zbyt jasno występują.

Tekst przedstawia rzecz zwięźle i pragmatycznie. Autor odwołuje się wprawdzie często na źródła polskie, lecz przytacza tylko wyjątkowo napisy polskie, tak że mimowoli pozostało u nas po przeczytaniu całości wrażenie, jakobyśmy w obec innych cytatów, odnoszących się tak do zakorzenionej u nas z dawna po miastach Niemczyzny jak i z nią połączonego, protestantyzmu nie równą miarą obdzieleni zostali. A przecież wydawnictwo to, do którego same prace przedwstępne około 50,000 Mk pochłoną, przez stany prawincyonalne polecone, wychodzi kosztem całej prowincyi i powinno na zabytkach ukazujący się język polski po równi uwzględniać jak i niemiecki. Wypadałoby zatem błąd naprawić i życzenia nasze przy następnych, w przeciągu 2 lat wyjść mających zeszytach, inwentaryzacyjnych uwzględnić.

Dla nas samych jest to zestawienie i pod tym względem pouczającem, że stanowi ono wskazówkę, jak zabytków z przeszłości naszej przy ich „odnawianiu“ lub „restauracyi“ traktować nie należy. Słyszymy tam z kompetentnych ust, ile to razy w nowszym czasie przez nieznajomość rzeczy i dyletancką robotę stare zabytki częściowo popsuto lub nawet rozsprzedano! Ciekawym szczegółów zwracamy uwagę na str. 9, 13, 17, 39, **50**, **53** i 74. Jest i tu więc kronika nasza żałobna. Oby przestroga taka położyła koniec tego rodzaju bezwiednym, jak przypuszczamy, nadużyciom.

W końcu jeszcze słówko do obydwóch dzienników naszych „poważnych“. Pierwszy „Kuryer Pozn.“, chorujący w ostatnich tygodniach na eksperta w sprawach budowlanych zamieścił w najświeższym czasie o tem pomiukowem i nas zarówno jak i Niemców obchodzącem wydawnictwie charakterystyczne sprawozdanie, z któregoby wywnioskować można, iż ani tytułu dzieła z uwagą sobie nie przeczytał, bo w przeciwnym razie wiedziałby niezawodnie, że to dzieło nie wychodzi z tutejszego „niemieckiego Towarzystwa historycznego“. Dalej pisze ono „*wsi* Obrzycku“ i o „cywilnym (sic) rozwoju Wks. Poznańskiego“ (to może błąd drukarski!), a później tłomacząc niemieckie „spätgothisch“ pisze o stylu „*nowo*gotyckim“, kilka zaś wierszy dalej nazywa ten [sam styl „starogotyckim“. Niedołężne to wprawdzie, ale jak umiał tak napisał; dobrych chęci za złe mu

---

pokoiki dwa, a tak w nich było, jakby ktoś umarł wczoraj.

— Nic, nic po niej, — ani skrawka, ani wstążki. ani nic, nic po niej, jakby tu nigdy nie była.

Tylko fortepian był jeszcze otwarty, może od wczoraj nikt go nie tknął dotąd.

Wtedy, aby mieć coś przynajmniej, coby mi ją przypomniało, siadłem do fortepianu i zacząłem grać: Stabat Mater.

A gdy przyszedłem do miejsca, w którem mi wtórować zaczęła wtedy, — urwałem nagle, głowa mi opadła na piersi, i zrobiło mi się tak gorzko na duszy, tak gorzko okropnie.

Zacząłem grać znowu od początku, a gdy i teraz doszedłem do miejsca tego, stało mi się ciemno przed oczyma, moc jakaś tumaniąca, głucha porwała mnie.... i nie wiem, co się ze mną stało, tylko gdy już sprawę sobie zdać mogłem, znajdowałem się na otomance leżąc i słyszałem gwałtowne do drzwi pukanie i głos portyera:

— Nie może pan znaleść, co panu jest?

Co ja zrobiłem, co się ze mną stało, czy tak krzyczałem, że usłyszeli mnie? — pytałem siebie i odparłem:

— Nie, nie znalazłem. — A potem gdy wracałem do domu, powtarzałem jeszcze machinalnie szeptem: nie, nie znalazłem.

O Ido, gdybyś ty wiedziała, czem dla mnie wyraz ten jeden: nie znalazłem!

Czemuś ty odjechała odemnie i znikła, że choćbym świat przeszukał cały, nie znalazłbym cię już nigdy, nigdy?

Gdybym choć obraz twój miał, — ale nie umiem, nie mogę malować ciebie; gdybym choć pamiątkę miał jednę, której ty się dotykałaś, ustami wpiłbym się w przedmiot martwy i jemu skarżył się przynajmniej. — A tak usta z bólu zacinam, że nie mam nic po tobie, nic... — Tylko ta pieśń jedna mi została, która najdroższe me łączy ze sobą wspomnienia, — tylko mam po tobie tę żałobną pieśń: Stabat Mater.

Więc gdy rozmawiać z tobą pragnę, siadam do fortepianu i gram; a gdy przyjdę do miejsca, w którem mi wtórować zaczęłaś, zamykam oczy, i dreszcz rozkoszy mnie przechodzi, bo nieraz zdaje mi się, że z drugiego pokoju, tam z poza kotary, lekkie do mnie dochodzą tony, jakby organów dalekich granie, jakby śpiew twój.

O Ido, to złudzenie, a jednak ty nie wiesz, jak ono mnie pociesza, jak wdzięcznym tobie, że mi tę jednę zostawiłaś pamiątkę.

Tak mi cię braknie, tak mi za tobą tęskno w tej chwili.... Pójdę i grać będę, a gdy tony pieśni naszej rozpłyną się w pokoju, może ty sercem je zasłyszysz, może ta pieśń do ciebie doleci i powie ci o mnie, jak mi źle bez ciebie, jak mi ciebie żal, jak żal.

się nie bierze; gdy bowiem przekona się, że takich absurdów bezkarnie pisać nie można, pomyśli może na przyszłość o rozumniejszych referatach.

Gorzej z „Dziennikiem Pozn.“. Ułatwił sobie bowiem jeszcze bardziej sprawę, anektując cały artykuł bez jakichkolwiek poprawek żywcem z „Kuryera“ i nie podał ani po nazwisku swego tak znakomitego źródła. *O.* —



ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika galicyjska.

9 kwietnia.

(Trudne obowiązki korespondenta. Dwoistość galicyjska. Echa procesu tarnopolskiego. Chińszczyzna w Towarzystwie sztuk pięknych. Dwa systemy prowadzenia teatru. Dlaczego nie będą grali „Towarzysza pancernego“ w Krakowie. Sprawa pomnika Mickiewicza. Kto jest głównym winowajcą? P. Kossuth i Towarzystwo handlowe. Anegdota o krytyku muzycznym)

Mając od dnia dzisiejszego być sprawozdawcą już nietylko życia krakowskiego, ale w ogóle stosunków i spraw galicyjskich, winienem przedewszystkiem zaznaczyć we własnym interesie, iż obowiązki moje będą znacznie trudniejsze, niż były dotychczas. Wypływa to z wyjątkowego położenia Galicyi. Życie Królestwa polskiego koncentruje się w Warszawie, kto więc mieszka w Warszawie, temu łatwo być korespondentem z Królestwa. Korespondent z Wielkopolski do pism warszawskich lub galicyjskich jest w tem samem położenin, bo siedząc w Poznaniu może obserwować życie całej prowincyi, której wszystkie sprawy żywotne mają swój główny zbiornik, główną przystań w dawnej stolicy państwa Mieczysławów i Bolesławów. Galicya tymczasem ma dwa ogniska: Lwów i Kraków, które rywalizując ze sobą, przepoławiają życie społeczne, literackie i artystyczne. Dla tego też oprócz jednego namiestnika, jednego marszałka, jednego dyrektora poczt i telegrafów, jednego (i to zanadto) naczelnika dyrekcyi skarbu, jednej śruby podatkowej, jednej Akademji, jednej Politechniki, jednego „miłośnika prawdy“ w osobie p. Koźmiana, jednego komitetu pomnika Mickiewicza, jednego patryoty dra Lewakowskiego i jednej biedy galicyjskiej — posiada Galicya wszystkiego po dwoje. Mamy więc dwa uniwersytety, dwa konserwatyzmy (podolski i krakowski) dwóch ministrów — rodaków, dwa „Koła literacko-artystyczne“, uprawiające wszystko prócz literatury i sztuki, dwa wyższe sądy, dwa komitety wyborcze, dwa wielkie teatry, dwa Towarzystwa Sztuk pięknych, dwa organy ultra konserwatywne, dwie ujarzmione narodowości (oprócz panującej żydowskiej) dwa tory wyścigowe, dwie „końskie“ resursy, dwa kluby cyklistów, dwa główne obrządki katolickie, dwa Towarzystwa Ubezpieczeń, dwa Towarzystwa rolnicze, dwa Stowarzyszenia pracy kobiet, dwa Towarzystwa zbieraczy marek pocztowych, dwóch cudownych rabinów, dwie Izby adwokackie, dwa kalendarze, dwóch Badenich, dwie miary w ocenianiu zasług, dwa Towarzystwa wzajemnej adoracyi, dwa języki urzędowe, dwa zakłady dla chorych umysłowo, dwie drogi wiodące do Rzymu: przez Peszt i Wiedeń, dwa główne przemysły fabryczne: gorzelnie i browary, dwa Towarzystwa lekarskie, dwie dyrekcye policyi, dwa królestwa: Galicyi i Lodomeryi, dwa Dunajce: Czarny i Biały, dwa Sącze: Nowy i Stary, dwa systemy podatków, łapówek i protekcyi: pośredni i bezpośredni, dwie jednostki monetarne: gulden i koronę, dwa tramwaje, dwie giełdy uliczne, dwóch bogatych żydów, dwóch mądrych hrabiów, dwa Towarzystwa muzyczne, dwie „Harmonje“, dwie fabryki tutek do papierosów i dwie szkoły akuszerek. Posiadała jeszcze Galicya dwie filantropki i dwóch rozumnych mężów stanu, ale ci już pomarli.

Ta dwoistość galicyjska musi z natury rzeczy sprawiać niemały kłopot korespondentowi, bo jeżeli dwom panom naraz jest źle służyć, a na dwóch stołkach źle siedzieć, to najgorzej dwie sroki: Lwów i Kraków, za ogon trzymać. Chcąc dokładnie, na mocy naocznego przekonania się notować wszelkie ważniejsze objawy w tych dwóch ogniskach galicyjskiej ojczyzny, musiałbym chyba przepołowić się lub nakształt wahadła zegarowego odbywać ciągłą podróż między temi dwoma punktami. Ponieważ zaś to jest niepodobnem, muszą przeto czytelnicy wybaczyć, że Kraków będzie górował w moich korespondencyach, że kiedy za kronikę jego będę brał na siebie całkowitą odpowiedzialność, to przy stosunkach lwowskich będę musiał od czasu do czasu położyć zastrzeżenie: *relata refero*.

Dwoistość galicyjska występuje prawie w każdej sprawie. Zdawałoby się np. że taki proces tarnopolski spotka się z jedną niepodzieloną opinią. I rzeczywiście tak sąd przysięgłych, jak ogół ludności, jak wreszcie prawie całe dziennikarstwo, miało tylko jedno zdanie, a zdanie to brzmiało: kapitalnem głupstwem, jeżeli nie zbrodnią, było więzić młodzież i wytaczać jej proces za dziecinne, lecz uczciwe porywy, za kilka lekkomyślnych frazesów. Nawet ultralojalni rozumieli to dobrze, iż taki proces ośmiesza władzę i daje broń do ręki naszym przeciwnikom, którzy przy sposobności powiedzą ze złą wiarą: „Galicya myśli o powstaniu i oderwaniu się od Austryi“. Inni wreszcie sądzili, iż niebezpieczną jest rzeczą wytwarzać pomiędzy młodzieżą „męczenników“, którzy muszą być uwolnieni i otoczeni sympatyą, a więc łatwo przewróci się nietylko im w głowie, ale i rówieśnikom ich, chcącym również nabyć łatwym sposobem aureoli męczeńskiej. Wszystkie te zdania potępiały lekkomyślność sfer decydujących i wyrażały konieczność jaknajprędszego zatarcia śladów tej lekkomyślności. Tymczasem Rada szkolna krajowa, która jak się pokazało najwięcej zawiniła w tej sprawie, postanowiła mieć odmienne zdanie. Nietylko więc nie zaciera śladów, ale je rozmazuje. Naprzód uznała za stosowne ukarać Tarnopol jako ognisko buntu i przenieść seminaryum nauczycielskie do innego miasta. Dalej, ponieważ p. Szafran, nauczyciel seminaryum tarnopolskiego, przedstawił jasno i uczciwie, jak się na ów bunt, na ową „zdradę stanu“ zapatrywało ciało nauczycielskie, przeto za tę odwagę cywilną, za tę uczciwą i szlachetną obronę młodzieży przed wstrętną denuncyacyą, wytoczono mu śledztwo dyscyplinarne. Jednocześnie jeden z członków Rady szkolnej otrzymał wysokie odznaczenie, a wróble na dachu wiedzą, iż ten gwałtowny konserwatysta i tępiciel ateizmu, przed niewielu laty był radykalnym liberałem i zakazywał swe dzieci uczyć pacierza.

Dwoistości Galicyi dowodzi również i odjednoczenie „Zjednoczonego Towarzystwa sztuk pięknych“. Jednemu źle się powodziło, jedno coraz więcej upadało, a więc rozdzielono je na dwa: lwowskie i krakowskie. Każde z nich ma swój statut na odmiennych oparty podstawach. Lwowskie sądzi, iż kto jest jego członkiem i ma obowiązki, ten musi mieć i prawa, a więc zgodnie z logiką i ustrojem wszystkich takich Towarzystw, członkowie mają prawo głosu i wyboru. Krakowskie Towarzystwo przeciwnie, nie może i nie chce pozbyć się chińszczyzny, która zamyka usta członkom i mówi: wy jesteście od płacenia, a nas kilkunastu stanowiących komitet, będziemy rządzili na wieczne czasy, sami siebie wybierali, a wam pozwalali tylko słuchać i milczeć. Ale na chińszczyznę wogóle spadają dotkliwe dziś ciosy. Znalazło się więc w Krakowie kilkudziesięciu Japończyków, którzy postanowili zdobyć i zburzyć Pekin Towarzystwa sztuk pięknych. Już na walnem zgromadzeniu przyszło do awantury między kilku Japończykami, a ufnymi w swą ilość i siłę stanowisk Chińczykami. Po tej pierwszej wymianie strzałów, Japończycy zaczęli się uzbrajać i zwołali pospolite ruszenie do sali „Sokoła“. Dowództwo nad tą armją objęli artyści malarze, z których jeden przypatrywał się ongi naocznie wojnie serbsko-bułgarskiej i widział jak słabsi ilością, ale więcej karni i wyćwiczeni bułgarzy, zadali klęskę serbom trzy razy liczniejszym. Znając się nieco na strategii i taktyce może p. Antoni Piotrowski zdoła na czele armji niezadowolonych rozbić mur chiński Towarzystwa sztuk pięknych. A nie jest to dopiero pierwsze usiłowanie, gdyż o ile sobie przypominam już przed 20 laty zbierano między członkami Towarzystwa podpisy w celu wywarcia presyi na komitet, ażeby azyatycki swój statut przerobił na modłę europejską. Później sprawa ucichła, aż dopiero rządy baszybuzucha Zygmunta Cieszkowskiego otworzyły na nowo oczy tym, co pragną rozwoju, a nie upadku Towarzystwa.

Podwójnie też zapatrujemy się na stosunek teatru do moralności i katolicyzmu. W Krakowie przedstawiaja Lizystratę, a dzienniki konserwatywne i katolickie piszą dla niej reklamy — we Lwowie zamierzano urządzić przedstawienia pasyjne, lecz tak zaczęto wołać na nieuszanowanie uczuć religijnych, że dyrekcya teatru widziała się zmuszoną ustąpić przed tym głosem opinji, pomimo poczynionych już znacznych wydatków. Przyznaję otwarcie, iż nie jestem zwolennikiem wprowadzania na scenę tego, co jest świętością dla ogółu wierzących, ale nie rozumiem dwóch miar, podwójnych sumień. Wszak pomijając skandaliczną Lisystratę, teatr krakowski wystawił „Hanusię“ Hauptmanna, w której występuje Chrystus i to w roli niezgodnej z pojęciami religijnemi. Otoż taki Chrystus Hauptmanowski może się ukazywać na scenie teatru krakowskiego, można w Krakowie przyglądać się na wszystkich wystawach fotografiji aktora Śliwickiego, ucharakteryzowanego za Chrystusa, a we Lwowie nie wolno przedstawić na scenie Chrystusa w duchu pojęć ściśle katolickich.

Nietylko tem zresztą różnią się nasze obie tak zwane „świątynie sztuki“. P. Przybylski, dyrektor teatru lwowskiego, stara się pomimo ciężkich warunków, wystawiać jak najprędzej wszystkie nowości oryginalne, p. Pawlikowski zaś, dyrektor teatru krakowskiego, pomimo wybornych warunków finansowych, z najwyższą niechęcią przystępuje do wystawienia polskich nowości. Dlatego też mieszkający w Krakowie autor Kilińskiego, widział go na scenie lwowskiej przed rokiem, a w Krakowie przed dwoma miesiącami; dla tego też „Ciepła wdówka“ Bałuckiego ujrzała najprzód we Lwowie a nie w Krakowie „światło kinkietów teatralnych“. Gorzej się jeszcze stało p. Michałowi Wołowskiemu, autorowi „Towarzysza pancernego“, za którego otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie lwowskim. Nie znam sztuki, więc o niej sądu wydawać nie mogę, ale jeżeli komisya oceniająca, w której skład wchodzili: Małecki, Estreicher, Krechowiecki, Kotarbiński itd. udzieliła „Towarzyszowi pancernemu“ pierwszej nagrody, toć musi być w tym „Towarzyszu“ coś dobrego, boć przecie zdanie samego choćby Małeckiego jest dziesięć milionów razy więcej warte, aniżeli zdanie p. Tadeusza Pawlikowskiego. A tymczasem, pomimo, że „Towarzysz“ wystawiony we Lwowie, przyjęty został nader życzliwie przez krytykę, a publiczność lwowska szczelnie na nim teatr wypełnia, krakowski pan dyrektor zaopiniował, że na zdaniu Małeckich, Estreicherów itp. nie polega, a publiczność lwowska jest „zbyt głupia“, aby brać w rachubę jej zadowolenie z „Towarzysza“. I dzięki temu nie będziemy widzieli na naszej scenie nagrodzonej sztuki p. Wołowskiego. Na jedno tylko zgodził się Lwów z Krakowem, a mianowicie na to, iż pomnik Mickiewicza jest bardzo brzydki. Wiecie już naturalnie, bo wszystkie pisma to ogłosiły, iż komitet odrzucił p. Rygierowi figurę Mickiewicza i grupę „Nauka“. P. Rygier mógł się procesować, a raczej mógł wyzyskać położenie, bo komitet, obawiając się kompromitacyi, nie byłby zapewne dopuścił do procesu, a pomimo to zgodził się na bezinteresowne wykonanie po raz drugi odrzuconych części pomnika. Należy mu to bezwarunkowo pochwalić, należy mu wyrazić uznanie. Po tym akcie skruchy i pokuty nie wypada się dalej na niego gniewać, tem więcej, kiedy się wie bardzo dobrze, iż on sam jeden ponosi karę za winy swoje i winy komitetu. Nie wiemy tylko jednej rzeczy, a mianowicie, kto poniesie koszta transportu modeli, odlania ich w bronzie i ustawienia, które bądź co bądź będą wynosiły kilkanaście tysięcy złr., a funduszów na pokrycie tej kwoty komitet nie posiada. Ale niech nas na razie o to głowa nie boli, a tymczasem podziwiajmy nową ozdobę rynku

krakowskiego, pomnik bowiem cały zaszalowano na kształt kwadratowej budy z ostrosłupowym dachem na wierzchu. Obcy przejeżdżający sądzić będą, że jest to jakiś amerykański środek kupieckiej reklamy, cała bowiem ta budowa, wysoka na 10 metrów, zalepiona jest afiszami. Szkoda, że nie wysłuchano propozycyi pozostawienia pomnika otwartym, zdjęcia głównej figury i tymczasowego zastępowania jej kolejno przez stosownie przybranych członków komitetu. Wyglądałoby to naprzód estetyczniej, a powtóre byłoby dobrowolnem dopełnieniem kary za złe pilnowanie spraw pomnika. Właściwie kara ta powinna była dotknąć przedewszystkiem p. Konstantego Przeździeckiego, któremu przeważnie zawdzięczamy całą tragikomedyę pomnikową. Ale ten wielki znawca i mecenas sztuki (ma obfity zbiór fotografij), skoro poczuł, że nabroił, dał drapaka z Krakowa i komitetu, wskutek czego całkiem o nim zapomniano. Wydobywam więc na jaw jego nazwisko, aby marmur jego zasługi nie pokryło zielsko niepamięci.

Nie bolejąc nad ubytkiem z Krakowa uhrabionego przez dzienniki p. Przeździeckiego, wyrażam żal z powodu opuszczenia Krakowa przez p. Stefana Kossutha, jednego z najwybitniejszych techników polskich, prezesa zeszłorocznego zjazdu techników we Lwowie. Szeroka działalność jego znaną jest w Królestwie polskiem, gdzie zajmował wybitne stanowiska: jako dyrektor fabryk żyrardowskich i łódzkich, oraz dyrektor kolei nadwiślańskiej i redaktor *Przeglądu technicznego*. W Krakowie przebywał zaledwie przez pół roku, umiejąc w tym czasie nietylko dać się poznać z wiedzy zawodowej, ale i z ogólnego wykształcenia, wysokiej inteligencyi i przymiotów towarzyskich. Zabrał go naszemu miastu Lwów, gdzie mu się otworzyły widoki szerszej pracy dla dobra kraju. Wspominam o nim dlatego, iż wyczytałem jego nazwisko jako nowego członka Rady nadzorczej galicyjskiego Towarzystwa handlowego. Lwów na polu przemysłu i handlu pozostawił w tyle za sobą Kraków, czego dowodem choćby rozwój tego Towarzystwa. Założyło ono centralny bazar krajowy i ujmuje coraz więcej w swe ręce handel wyrobami przemysłu domowego i w ogóle krajowego. Rok ubiegły przyniósł Towarzystwu czysty zysk w kwocie 36,000 zlr. Zajęło ono wybitne miejsce w handlu spirytusowym, zbożowym, maszyn, nawozów sztucznych i nasion. Szczególną troskliwością otacza dział przyborów pożarnych i sikawek, pracując nad bardzo zaniedbaną w kraju organizacyą obrony pożarnej. Obecnie wprowadza w życie pospieszne pociągi dla bydła opasowego z Galicyi i Bukowiny.

Na zakończenie prawdziwa anegdota. Występujący niedawno w jednym z naszych teatrów śpiewak wykonał piosnkę Galla do słów najznakomitszego z naszych żyjących poetów, a słowa to śliczne, jakby proszące się o muzykę. Poeta znajdował się w teatrze, a obok niego siedział krytyk muzyczny, nie sympatyzujący z Gallem. Kiedy pieśń przebrzmiała, krytyk odwraca się do poety i mówi: „oto nowy dowód inteligencyi naszych kompozytorów. Trzeba być . . . . ., aby do takich głupich słów dorabiać muzykę.“ Poeta przyznał to z uśmiechem i opowiadał później jak ocenia jego utwory.... krytyka muzyczna. Nawiasem dodam, iż wiersz, o którym mowa, należy do najwięcej znanych, najwięcej popularnych utworów poety.

K. Bartoszewicz.

LISTY Z KOLONII.

(Spóźnione).

Kolonia 1 kwietnia.

I kronikarz miewa niekiedy pokusy, jakże więc i ja nie miałem ich dostać! Jak ciocię kocham, że broniłem się przed niemi jak wąż, jak lew, jak pantera, jak... jak... no jak Chińczycy przed Japończykami, ale... Czytelnicy! proszę, nie rzucajcie na mnie kamieniem za tę słabość, a Wy Szan. Czytelniczki — łupinki od pomarańczy, któremi chciałyście mnie ukamienować, schowajcie do mufki. Bardzo proszę, a za to zaspokoję Waszą ciekawość, bo moja pokusa z pokusami św. Augustyna nic nie miała wspólnego. Otóż było to tak. Mając stale pisywać do „Przeglądu“ namyślałem się nad znakiem, który pod korespondencyami oznaczać miał moje pióro. Jako wielki amator kwiatów, zwłaszcza gdy to pąkóweczki jeszcze właśnie co mające rozkwitnąć (proszę mnie nie posądzać o dwuznaczniki), spojrzawszy na bukiecik fiołków stojący na biurku, przyszła mi pokusa podpisywać się „fiołek“ (jak się to pięknie rymuje na osiołek!), ale wspomniawszy znowu na różową wstążeczką owiązaną gałązkę jaśminu zasuszoną w poezyach Asnyka, przypomniawszy sobie nadto, że w notesie mam również zasuszony gwoździk owinięty starannie w papier z napisem „souvenir“ — porzuciłem grzędę z kwiatami, bo każdy niby róża zdawał się mieć kolce. Przemaszerowszy kilka razy moje *at home* i wzdłuż i wszerz, nowe do głowy nadpłynęły mi idee i z łanów kwiatów myśl moja pobujała na pole mitologii i historyi... nawet starego zakonu. Nowe więc były pokusy. Ponieważ jednak Grecy wiecznie nowe dłubali w marmurze kapitele, Rzymianie podobno się boksowali, Egipcyanie codzień do znudzenia fabrykowali mumie, no a naród jerozolimski w ogródkach więcej sadził cebuli, niż bzów i rezedy, więc dla prawie dwudziestu powyższych przyczyn porzuciłem i tę myśl, chociaż doprawdy potrzeba było tylko wędkę zarzucić, żeby wyłowić pseudonim w todze lub halacie. Chciałem się później jeszcze nazwać „Li-Hung-Tschang“, myśląc, że to *haute nouveauté*, ale mnie wyśmiano, wzięła mnie pokusa podpisywać się „primaaprilis“, bo to na czasie, ale intimusy moi i ten świetny pomysł zabili salwą ironicznego śmiechu. Słabo mi się zrobiło, widząc jak gmach moich pomysłów jeden po drugim chyli się i upada i mimowoli odwróciłem głowę na moim *ratersztulu*. Była to błogosławiona chwila.

Oko moje zaszłe już łzami padło przypadkowo na Citatenschatz Buchmanna i nagle, tak jak wyrasta kwiat kaktusowy, przypomniały mi się nieśmiertelne słowa niemieckiego wieszcza: „Sieh, das Gute liegt so nah“. I w rzeczy samej, czyż to nie najlepiej podpisać się prosto z mostu własnem nazwiskiem, tak jak je Pan Bóg dał, a człowiek odziedziczył po antenatach? Korespondencya oznaczona rzeczywistem nazwiskiem autora i z tego względu zdała mi się zalecać, ponieważ do pisania używam ostrych piór t. zw. ff., a zadrasnąwszy może gdzieś, kiedyś, kogoś, wina nie spadnie na „Przegląd“, jakoby korespondenci jego strzelali z za płotu. Gotów zawsze za artykuły mego pióra odpowiedzieć na ewentualne zaczepki wywołane słowami prawdy i nagany, z otwartą przyłbicą idę w bój kronikarski, w bój, gdzie żółć się leje, nie krew, chociaż krew czasem do głowy uderza.

Po zającach, polędwicach i pieczeniach wszelkiego rodzaju, zajął miejsce prezydyalne śledź. Śledź nie szczupak to prawda — tak tłomaczyła mi w ubiegły piątek wieczorem moja gospodyni, widząc, że na to danie twarz moja robi się kwaśną jak ocet, w którym na talerzu pływała przeznaczona dla mnie morska ryba — ale potrawa zdrowa nawet i pożywna.

Toż pan — ciągnęła gadatliwa babina dalej — nawet na śniadanie jadł go czasem i to z wilczym apetytem, sam prosząc mnie o niego. Na takie *dictum acerbum*, które wywołało mary „koleżeńskich kolacyjek“, kawalerskich wieczorków“ et tutti quanti kuzynków nazwiska „hulatyka“ — zamilkłem, ale pióro moje nie mogło znowu oprzeć się pokusie i umaczawszy stalowy koniec swój w occie siedmiu złodziei, zatopiło go w śledziu i podało na pierwsze danie fejletonu postnego. Myślę, że Szan. Czytelnicy mimo tak rozwlekłej rozprawy o śledziu nie posądzą mnie przecież o reklamę dla obywateli zamieszkujących znane „budki“ pod Poznańskim ratuszem, powodem z mojej strony, że poczęstowałem śledziem są tysiące głosów, które w radosnem uniesieniu wołały:

Witaj o wymoknięty!
Podczas zapustnych gorączek
Twe miejsce zajmował pączek,
Pączek nadęty,
Dziś jego potęga złamana,
I na wzgardzonym grobie
Lud uznał w tobie
Pana.

Jakżeś piękny, gdy octu krzepkiego kaskada
Kruchość ci nada,
Gdy cię uwieńczą koroną z cebuli,
Twym własnym mleczem przyozdobią dzwonka,
Wachlarz uczynią z ogonka
I zleją oliwy deszczem...
Kogoż twój widok nie rozczuli?
Kogoż nie przejmie zachwycenia dreszczem?

Po przeczytaniu powyższego poematu, nienagrodzonego wprawdzie na żadnym konkursie literackim, ale mimo to jednego z najlepszych ostatniego lat dziesiątka (ależ wierz mi pan, panie redaktorze), liczę napewno, że liczne grono Szan. Czytelników zostało i zachwycone i rozczulone. Korzystając z małego zamięszania, pióro moje od ryb przenosi się nad wodę. Woda w Kolonii, o której zamierzam pisać, jest co prawda wodą kolońską, ale... ale... jakby to zwłaszcza paniom wytłomaczyć? otóż: nie działa ona przeciw migrenie, ale niestety przeciwnie. Tamtą, pachnącą, zwaną także „wódką kolońską“ fabrykuje dopiero dwadzieścia prawdziwych rodzin Farina i dwadzieścia innych nie będących „waschecht.“ Jasne? bene! Oko moje teraz przenosi się nad Ren, którego wody to rosną, to opadają jak akcye pewnych gazet poznańskich. Gorliwi o dobro współobywateli ojcowie miasta schodzą się codzień nad brzegiem, o ile go woda nie zalała jeszcze, patrzą na wodomierz i... i myślą. Indyk myślał i zdechł, a ojcowie miasta wzdrygnąwszy ramionami z obawy przed influencą uciekają do najbliższej knajpki, z której zaczerwienieni wychodzą dopiero około południa.

Bismarkczycy postroili okna portretami i podobiznami „pustelnika z Friedrichsruh, a na oknach i balkonach wywieszają chorągwie. Ponieważ jedna z tych „schwarz, weiss, roth“ zawieszona na piętrze ponademną, aż do mnie sięga i przed oknem powiewa, a migotanie takie świateł oczom moim szkodzi, więc rad nie rad zakończyć muszę tę pierwszą moją korespondencyą do „Przeglądu“, stawiając na zakończenie kropkę.

Witold Leitgeber.

NA WYŁOMIE.

(O różnych „Panach“. Męczennik miłości. Wiekopomny artykuł. Dwaj tromtadraci“.

„P a n w f u t r z e! — To człowiek, który w sztukach ludowych nagradza cnotę tryumfującą. Znalazł szewczyk talara, oddał go uczciwie i oto zjawia się „Pan w futrze“ (zwykle pożyczanem) z całą sakiewką nagrody.

„P a n z e w s i“! — To taki, co ma sumiaste wąsy, śmieje się w cukierniach na całe gardło i ślini tak przyjaciołom policzki, że z samej wilgoci kataru dostają.

„P a n w h a w e l o k u!“ — To taki, co chodzi w Warszawie po ulicy, zbiera nowinki o kradzieżach, mordach i powodzi, obiecuje kupcom sążniste reklamy, zjada za to dobre obiady i w „Kuryerkach“ opowiada, gdzie diwy operetkowe kupują — koszule. Jednem słowem reporter.

„Pan z miasta“! — Tu styl lapidarny wypowiada feljetoniście posłuszeństwo, bo definicya tego Pana wymaga głębokiej refleksyi. Widziałem w okolicach Poznania Nemrodów pudłujących rozpaczliwie do kuropatw i zajęcy, a chłop przy órce ścigał oczami nietkniętą zwierzynę i mówił „Ho! ho! To Pan z miasta strzelił“. Słyszałem też nieraz w redakcyach poznańskich jak „Naczelny“ mówił do adjutanta swego: „Zwymyślaj pan Szymańskiego, ale naturalnie: To „P a n z m i a s t a“ pisze!“ Albo: „Trzebaby tak przystawić bańki „Postępowi“, ale nie od nas; „P a n z m i a s t a“ operuje“. Jednem słowem ile razy redakcya wstydzi się ogłosić jaką szkalującą głupotę, jakąś potwarz pozbawioną zdrowego sensu, lecz obliczoną na niskie instynkta lub złe informacye czytelników, zawsze wołają „Pana z miasta“ na pomoc, dodając często dla większego efektu: „Korespondencyę powyższą umieszczamy, jakkolwiek nie godzimy się na nią we wszystkich puntach.“

„Pan z miasta“ odezwał się w „Kuryerze Pozn.“, a naczelny redaktor, pan dr. K a n t e-

c k i dopisał — na własnym, jak złośliwi mówią, manuskrypcie, — charakterystyczną notatkę. Tarczą, do której strzela Kuryerowy „Pan z miasta" jest dr. Rabski najmilszy ze wszystkich faworytów pana Kanteckiego. Miłość tego „małego braciszka wielkiego księdza" dla redaktora naszego jest tak płomienną, że gdy przed niedawnym czasem recenzent teatralny „Kuryera", kapłan katolicki, wyraził się z uznaniem o dramacie Władysława Rabskiego, wyprosił za drzwi krytyka p. dr. Kantecki, a rękopis fatalny pogrążył w czeluściach kosza. Snać się obawiał ten najczulszy z przyjaciół naszych, że autor „Zwyciężonego" wyczytawszy pochlebną wzmiankę w „Kuryerze Pozn.", złamie natychmiast pióro swoje, wołając rozpaczliwie „Nizko upadłem, bo „Kuryer" mnie pieści." Zacny przyjaciel! Ocalił nam redaktora! Niech mu Bóg da zdrowie! I mówią tu jeszcze ludzie, że dr. Kantecki nienawidzi dr. Rabskiego. Zaręczam wam, — to komedya. Lwica nie kocha tak lwiątek swoich, orlica piskląt, bigotka spowiednika, jak ten poważny mąż naszego zuchwałego „Masona". Niedawno Chochlik Przeglądowy wysłany na zwiady podsłuchał w oficynie „Kuryera", jak redaktor w półśnie pogrążony, tak mruczał:

„Co za straszny los! Muszę błotem bryzgać to kochanie moje, bo to błoto nasze jest laurem dla niego i ożywczą rosą dla strudzonej ręki. Jedna pieszczota „Kuryera", a jęknąłby z bólu. Co za straszna tragedya! Może on kiedyś z tego dramat potężny wysnuje! Cóż? Ja go pochwalić nie mogę."

A co? Nie mówiłem wam! Bije wielkie serce w tem olbrzymiem ciele.

Potem zbudził się redaktor naczelny i zalewając się łzami, jął pisać artykuł. Pan dr. Rabski zrozumiał tragedyę p. Kanteckiego i posłał mu dzisiaj różę pąsową z napisem „Męczennikowi miłości", a Sulli polecił ku wiecznej pamięci zapisać w Przeglądzie dokument Ibsenowskiej tragedyi, streścić artykuł „Kuryera", porodzony we łzach i bólach straszliwych.

„Działo się w pamiętny wieczór wtorkowy na zebraniu wyborczem miasta Poznania. Rej wodziła niestety zgraja „tromtadratów", którzy nietylko — o zuchwałości! — myślą samodzielnie, ale nawet — o piramidalna pycho! — śmią kwestyonować nieomylność ugodowców naszych. Pierwszy oczywiście wystąpił p. dr. Rabski, znany „ze swady oratorskiej" retor poznański, i rozzuchwalił się do tego stopnia, że odsłonił wyborcom niebezpieczeństwo ustawy przewrotowej. Wykładał „jak łopatą" i naraził nas otwartością poglądów swoich na straszne niebezpieczeństwo. Odważył się on nazwać bohaterami takich Ordonów i Sowińskich, których przecież „ustawa" piętnuje mianem „zbrodniarzy", — odważył się urągać trybunałom pruskim i pouczać wyborców, że nowa „ustawa" zagraża energicznej obronie praw narodowych, — odważył się mówić o rozgoryczeniu polskiem, z którego nieraz płynie protest bolesny ku wyżynom państwa, — jednem słowem, odsłonił karty przed ministrami. Powinien przecież pamiętać młody orator, że rząd niemiecki jest ciemny jak tabaka w rogu i dopiero od p. dr. Rabskiego dowiedział się o uczuciach i aspiracyach narodu. Pocóż to mówić publicznie o Mickiewiczu i Słowackim, którym nowe prawo konfiskatą zagraża, pocóż drażnić rząd deklamacyami o naszych bólach narodowych, — to wszystko jest brakiem uszanowania dla tronu i podnieca nieszczęsny patryotyzm, który jest największem nieszczęściem społeczeństwa. My jesteśmy Prusakami polskiego języka i niczem więcej, a jeżeli nimi nie jesteśmy, to dojrzałość polityczna dyktuje symulacyę taką. Zuchwały retor poświęcił dla oklasku tłumów rozum polityczny. Rząd mścić się będzie strasznie i gotów cofnąć naukę języka polskiego, którą około Wielkiejnocy wprowadzić zamierzał. Zwycięstwu lojalizmu naszego przeszkadza zawsze tromtadracya. Jeżeli p. dr. Rabski uważał rezolucyę za konieczną, to mógł ją przedstawić bez uzasadnienia. Pocóż to informować tłumy, które i bez objaśnień pojmują dokładnie ustawę przewrotową. Niechaj sobie niemieccy politycy pouczają wyborców, — nasze mieszczaństwo jest tak dojrzałe, że zna na wylot treść i znaczenie prawa nowego. Ogólnikowy tenor rezolucyi świadczy również o niedojrzałości autora, który wiedzieć powinien, że rezolucya a memoryał — to identyczne pojęcia. Należało napisać dwutomową krytykę ustawy i dedykować ją Kołu polskiemu, — byłby to akt uszanowania i dowód, jak poważnie zapatrujemy się na sprawę. Wprawdzie rezolucya pana dr. Rabskiego odpowiada formą swoją wszystkim rezolucyom niemieckich związków i stronnictw politycznych, ale jest to znowu dowód, że p. dr. Rabski jest pozbawiony oryginalności i tylko kopiować umie. Byli na zebraniu poważni mężowie, gotowi zgromić zuchwałego śmiałka, ale dla świętej zgody milczeli pokornie. Tak! milczeli w imię dobra publicznego.

Drugim i jeszcze gorszym tromtadratą jest p. dr. Krysiewicz. On to odważył się zaproponować rezolucyą, żądającą ślislejszej komunikacyi między Kołem polskiem a społeczeństwem. Po oświadczeniu „nawiasem mówiąc bardzo zręcznem" stronnika naszego p. dr. Mizerskiego, że reprezentacyom polskim w sejmie i parlamencie na dobrych chęciach nie zbywa, — wszelka rezolucya była zbyteczną. Żądanie p. dr. Krysiewicza ubliża posłom zasłużonym, którzy przecież lepiej pojmują interes polityczny od poznańskich eskulapów i literatów. Niech się panowie dr. Rabski i dr. Krysiewicz nie szczycą, że rezolucye ich zatwierdzono bez protestu i grzmotem oklasków przyjęto. Klaskała tylko zgraja tromtadratów a ludzie o wyższym rozumie politycznym odpowiadali pogardliwem milczeniem."

Oto wierne streszczenie tego, co „Pan z miasta" napisał w „Kuryerze". Staraliśmy się nie pominąć żadnej z genialnych idei słynnego artykułu, a jedyną zmianą jest kilka drobnych komentarzy i przekład zakrytych aluzyi i niedopowiedzianych półsłówek na język zrozumiały i treściwy. Nie dziwcie się idyotyczności wiekopomnego elaboratu, bo pisała je ofiara strasznej tragedyi psychologicznej, pisał je — męczennik miłości.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

Taaffe jako powieściopisarz. Rozmyślając nad znikomością tego świata i zaprawiając się do siejby hreczki, aby zmazać grzechy przeszłości, napisał hrabia Taaffe powieść p. t. „Spowiedź polityczna", która niezadługo ma się pojawić w druku, ale tylko w 200 egz. jako upominek dla najbliższych przyjaciół. Pióro polityka ma być znakomite, a treść osnuta na tle tajemnic politycznych z ostatnich lat 10. Bohaterami są osoby odgrywające pierwszorzędną rolę w polityce i w „towarzystwie", a pierwsze miejsce zajmuje eksminister, który podszeptami swojemi skłonił Taaffego do podjęcia akcyi, która skończyła się jego upadkiem. Drugie miejsce zajmuje pewna hrabina, odgrywająca wybitną rolę w Wiedniu. Nazwiska osób działających nie są wymienione, ale każdy z łatwością może się ich dorozumieć. Pisząc o tem, czyni „Wr. Allg. Ztg." żartobliwą uwagę, że co do kierunku, należy powieść do szkoły zreformowanej, a pojedyncze ustępy są tak dosadnio stylizowane, że grozi dziełu konfiskata na wypadek gdyby książka miała przejść do handlu księgarskiego.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Poseł do parlamentu niemieckiego, p. dr. Krzymieński, ogłosił list otwarty do wyborców swoich, z którego wynika, że Koło polskie nie powzięło jeszcze stanowczej uchwały w sprawie ustawy przewrotowej. Poseł kujawski upatruje w ustawie groźne niebezpieczeństwo dla narodu polskiego. — Po Wielkiejnocy odbędą się w kilku okręgach wyborczych Księstwa wiece w sprawie ustawy przewrotowej. — Przyjęcie rządowego projektu komunalnego prawa wyborczego wywołało w belgijskich kołach robotniczych wielkie niezadowolenie. W kilku kopalniach i fabrykach wybuchły bezrobocia. — Słynny z afrykańskich okrucieństw kanclerz Leist, skazany został na pozbawienie urzędu.

Teatr i muzyka. Rząd rosyjski zabronił w ostatniej chwili pani Modrzejewskiej urządzić w Petersburgu szereg gościnnych występów. W skutek tego układ między słynną artystką a panną Heleną Zimajer, angażowaną do współudziału w petersburgskich występach, nie przyszedł do skutku — Z dniem 15 czerwca rozpocznie się w nowym teatrze krakowskim po raz pierwszy letni sezon operowy, któremu śmiało rokować można powodzenie. Na razie zaangażowano następujących solistów: panie Mirę Heller, Konarską (z Warszawy), Eugenję Strasseru, Kasprowiczową, Skalską i Janinę Korolewicz, oraz pp. Aleks. Myszugę, Bandrowskiego, Jeromina i Gabrjela Górskiego. Chór przyjedzie ze Lwowa, a uzupełnią go śpiewacy z Warszawy. Orkiestry dostarczy kapela 13 pułku pana Hocka, reżyseryę objął p. Kamiński. — Meilhac wykończył nową czteroaktową komedyę p. t. „Wielki majątek". — Prezes dyrekcyi teatrów warszawskich, p. Karandiejew powrócił już do Warszawy, odzyskawszy w Berlinie utracone zdrowie. — „Pan Senator", komedya Kadełburga, tłomaczona z niemieckiego, stała się „sztuką kasową" w warszawskim Teatrze Małym. — Paderewski święci w Paryżu nowe tryumfy

Dwa aforyzmy. Pewna dama prosiła przed laty Moltkego, a potem Bismarcka o napisanie słów kilku w jej pamiątkowym albumie. Feldmarszałek napisał, co następuje: „Kłamstwo ginie, prawda wieki przetrwa." A pod tem Bismarck: „Każdy wie, że na tamtym świecie jedynie prawda zwycięża. Przeciwko kłamstwom życia doczesnego daremnie zawsze walczy feldmarszałek".

Zamek Berchtoldstein, rezydencya zmarłego Wł. Kościelskiego, jest jednym z najbardziej godnych widzenia starych zamków w Austryi. Nie pociąga jednak ku sobie jego architektoniczna piękność, lecz wewnętrzne urządzenie, o którem opowiadają prawdziwe cuda. Opisać wszystkich skarbów, jakie się kryją w jégo murach, prawie niepodobna Zajmują one przeszło 20 olbrzymich sal, z których każda jest urządzona w innym stylu. Tu widzimy staroniemieckie jadalnie i sale rycerskie, tam francuzkie buduary i salony z niezwykłą urządzone elegancyą, tu według angieskiej mody urządzony pokój do pracy i prywatne biuro właściciela zamku; tam znów wabi twe oko pięknie po turecku urządzona fajczarnia. i t. d. Elegancya i przepych, jaki tu panuje, wprawia w zdumienie. Naokół wszędzie, na stołach, na ścianach, na szafach, pełno najrozmaitszych drobiazgów, a każdy z nich jest prawdziwem arcydziełem sztuki. W jednej z szaf zbiór najdroższej sewrskiej porcelany, na ścianach wiszą warte tysiące gobeliny, na których wydziergana jest cała starożytna historya: na stołach stoją olbrzymie japońskie wazy z emaljowanego bronzu, srebra i marmuru. wreszcie na ścianach obrazy najlepszych mistrzów świata, przeważnie artystów polskich. Dzieł polskich malarzy i rzeźbiarzy znajduje się tam bardzo wiele. W zbrojowni, która w 40 szafach mieści broń wszystkich wieków i narodów, ustawionych jest ośm olbrzymich marmurowych biustow polskich bohaterów i poetów, a między innemi prześliczny biust Stefana Batorego. Na jednej ze ścian wiszą w tej sali dary, jakie zmarły Sefer-basza otrzymał od rozmaitych monarchów świata, a więc wysadzane drogiemi kamieniami honorowe szable od cesarza Franciszka-Józefa, sułtana, cesarza Napoleona III, księcia Walji, szpilki brylantowe i t. p. Znawcy samą zbrojownię oceniają na przeszło dwa miljony franków. Stajnia berchtoldsteinska należy do najpierwszych i z pewnością nie jeden z monarchów nie ma takiego zaprzęgu prawdziwych arabów, jakim jeździł zmarły Sefer-basza.

Zmarli:

Luigi Ferri, profesor filozofii w Rzymie, zmarł w końcu marca.

Ludwika Otto-Peters, zdolna nowelistka, zmarła w Lipsku w końcu marca.

Bronisław Chrzanowski, literat, współpracownik „Prawdy", „Niwy" i „Przeglądu Tygodniowego", zmarł w Warszawie przed kiku dniami.

BIBLIOGRAFIA.

O bogactwie i piękności polskiego języka Ślązaków. Napisał Górnoślązak, wydał Br. Koraszewski, redaktor „Gazety Opolskiej". Opole 1895 r.

Wincenty Rapacki (syn.) Ilama. Obrazek w I akcie wierszem. Poznań 1895 r.

Mieczysław Offmański. Monitor, czasopismo polskie z XVIII wieku. Lwów 1895 r.

Hieronim Truszkowski. W rękach żandarmów. Londyn 1895 r.

Goschen George, kanclerz skarbu angielskiego. Teorya kursów weksli zagranicznych. Z 15-go wydania oryginału przełożył Adolf Peretz. Cena 2.50 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Autorka poezyi „W imię boże". Nie bierz imienia pana Boga twego nadaremno.

Szczęśliwaniezapominajka. Mimo najszczerszej chęci byłoby nam trudno zaspokoić ciekawość Pani. Utwór był anonimowy. List nosił stempel Poznania. Zresztą dyskrecya redakcyjna nie pozwalałaby w żadnym razie na odsłonięcie nazwiska.

Ks. Jacek Kamieński. Zamieścimy. Prosimy o dalsze korespondencye, lubo w szczegółach różnią opinie nasze.

Stanisław Womela. Artykuł zamieścimy. Prosimy o podanie adresu.

Trzeźwy polityk. Artykułu Pańskiego nawet w rubryce „Wolnych głosów" ogłosić nie możemy. Cała krytyka wiadomej instytucyi oparta jest na błędnych informacyach, a nadto roi się od złośliwych, a miejscami ordynarnych inwektyw.

K. F. W. Odpowiemy listownie.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Ludwik Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.